Nr. 23 (1067). Warszawa, dnia 26 Maja (8 Czerwca) 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ: POLITYKA: Hiszpania. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Mila, p. Tadeusza Ułanowskiego. — ŻYCIE SPOŁECZNE: Muzeum przemysłu i rolnictwa, p. P. — Z życia Francyi, p. dr. K. Spollana. — FEJLETON: Liberum veto, p. Posła Prawdy. — BADANIA NAUKOWE: Ekonomia społeczna, II, p. dr. Stanisława Grabskiego. — LITERATURA I SZTUKA: Literatura polska, p. A. Drogoszewskiego. — Przegląd teatralny, p. Wł. Bukowińskiego. — Notatki literackie i artystyczne. — POEZYE: Przemiana Rybak, p. Maryana Zbrowskiego. — Kłoski. — Kronika. — Ogłoszenia

Szan. Abonentów półrocznych i kwartalnych prosimy o wniesienie przedpłaty.

POLITYKA.

HISZPANIA.

Wybrana w drugiej połowie maja w Hiszpanii Izba poselska liczy aż 244 liberalnych. Najsilniejsze po nich stronnictwo zachowawcze ma tylko 80 mandatów i jeden; następujący z kolei co do liczebnej siły republikanie doliczyli się zaledwie piątej części ogólnej liczby biegunowo sobie przeciwnego stronnictwa. Dalej już idą partye albo zupełnie bez idei, albo też nierozdzielające sympatyj osobistych od pojęciowych: 14 zwolenników Romera Robledy, 13—Gamazy, 12—księcia Tetuanu. Dwudziestu kilku jeszcze do zapełnienia Izby pozostających, nie ma nawet takich sztandarów: rozprasza się to lub zbija w kupki przypominające dziecinne babki z piasku. Piętno liberalizmu przemagającego nad innymi kierunkami myśli i dążności pogłębiły jeszcze wybory do senatu, odbyte d. 2 czerwca. Urzędownie nawet przyznają, że w nowym składzie swoim Izba wyższa hiszpańska wraz z dożywotnimi, zasiadającymi z samego prawa krwi, liczy 163 liberalnych; ale tu zachowawcy mają już 112 swoich, stronnicy ks. Tetuana 24, liberalni niezawiśli 4, republikanie i karliści po 2, drobiazg przeróżny 22, wreszcie niezawiśli, t. zw. w Europie dzicy — 24. W senacie zatem liberalni są w mniejszości: przeciw 163 stoi 190, ale bezwzględnie wzięta liczebna ich siła uderzać musi swą wielkością: tylu senatorów liberalnych — Hiszpanii!

Potrzeba przecież przy tej liczbie dać małe objaśnienie. Liberalizm buletynów urzędowych hiszpańskich nawet najrzetelniejszych, nie znaczy liberalizmu pojęciowego przekonań zasadniczo ku postępowości zwróconych: znaczy trzymanie się Sagasty, który sam jest liberalnym, i nietylko liberalnym, ale skaził się ongi dążnościami republikańskiemi, w pamiętnych dniach wrześniowych 1868 r., kiedy to Prim z Londynu a Topete pod Kadyksem — wywołali przewrót, zakończony ucieczką królowej Izabelli do Francyi. „Liberalny" ma więc wartość taką, jak „ministeryalny, rządowy"; jest symbolem gardła, krtani, gotowej głosować za ministrami i ich projektami. W całej może Hiszpanii znalazłoby się niewiele więcej nad 400 szczerze liberalnych, w szlachetniejszem pojęciu, polityków z własnemi głowami: taka liczba w samem ciele prawodawczem mogłaby się zebrać chyba cudem, a Średnie Wieki już minęły. Nie chodzi też tu o własne postępowo a organicznie myślące głowy: wystarczają nogi i usta i głów kilkanaście, a głównie na ławach ministeryalnych. Mierność najzupełniej dobrze i lepiej od geniuszu spełnia funkcye — powszedniości: wyścigowcami nie wozi się kamieni.

Mieli ludzie uczciwi, zdolni i w kupach człowieczych, i w ziarnkach, które je składają, odczuwać człowieka i ludzkość — mieli nadzieję, że po pogromie z r. 1898, po tej strasznej klęsce, głębszej duchowo niż militarnie, ocknie się kraj Cydów, otrzeźwieje, sięgnie do sumienia swego, do instynktu zachowawczego, do siły życia i wydobywszy się z zaprzałości i zgnilizny na wierzch, nie liberalnych, nie postępowych, nie w te lub inne proporczyki zdobnych aktorów i statystów, ale owe jedynie rdzenne czynniki dziejów — powoła do dalszego ich tworzenia. Zdawało się niepodobnem takie spokojne przejście od wielkości politycznej, jeszcze posiadłościami zamorskiemi o sobie świadczącej, do ubóstwa zniewolonego nie wychylać się ani na krok po za własną zagrodę. Zdawało się nakazanem, nieuchronnem w chwili, gdy wyjść z siebie nie było już wolno, wejście w samych siebie, wstrząśnienie się wewnętrzne. Wierzono w dreszcze czy konwulsye prowadzące do ozdrowienia i odrodzenia. Wyczekiwano przekształcenia organizacyi, istoty samej społeczeństwa, które w dotychczasowym bycie swoim jako naród, w przeszłości od XVI w., spadało coraz niżej, a w przyszłości zapadać będzie musiało w coraz głębsze padoły. Wołano na liberalnych i postępowców — gdzie są? Nastawały właśnie czasy liberalizmu i postępowości w czynie, a nie tylko w gębie. Wielka, ponura nieszczęściem chwila dziejowa sama wołała na ludzi: „chodźcie!"

Nie przyszli, bo ich nie było — i niema ich do tej chwili. I gorzej jeszcze: niema nawet patryotów, a nietylko reformatorów. Dziwnie bezdusznie przyjęła Hiszpania wielką swą klęskę, jak dziwnie bezdusznie ją poniosła. Nic nie pobudziło rozumów i serc do pracy wewnętrznej, do postawienia sobie choćby tylko pytania: skąd to nieszczęście? czy z za morza, z Ameryki, czy też z ręki, z winy własnej? Z brutalną naiwnością nierozumu utrzymano całą paradę państwa wielkiego: dwa tysiące generałów i oficerów bez wojska, dwudziestu admirałów, pół setki generał-kapitanów i gubernatorów; utrzymano wysoki budżet na zbytki; utrzymano niedorzeczną w kraju o tak żywym temperamencie centralizacyę; utrzymano oświatę w zaniedbaniu i mroku, gminy w niechluj-

stwie etycznem i nieładzie administracyjnym, klasztory ze średniowiecznemi przesądami, średniowiecznemi pretensyami i średniowiecznem też zepsuciem i ciemnotą społeczną. Nikt nie pomyślał o szkole ani dla ludu, ani dla wyższych, aby ująwszy najpierwszą funkcyę społeczną w uczciwe ręce, samą swobodą niehamowanego światła wyleczyć nieszczęśliwy lud i nieszczęśliwszy od ludu naród z choroby konstytucyjnej: wstecznictwa, średniowiecznego romantyzmu i próżniactwa. „Błędy władzy wycieńczyły kraj i naród" — powiedział o Hiszpanii przed siedemdziesięciu laty wielki historyk — błędy władzy wyniszczą go do reszty. Nie wielkich haseł, wielkich płacht sztandarowych, ale wielkiego a cichego człowieka potrzebuje Hiszpania. Duch uprzedmiatawiający się w dziejach ma jedno tylko dla siebie źródło żywe: wyższą indywidualność ludzką; ona tylko zdoła Hiszpanię od znikczemnienia ocalić. Dziś już położenie geograficzne nie ocaliłoby jej od politycznej zagłady.

Tydzień polityczny. Admirał Birylew, dowódca eskadry śródziemnomorskiej, podczas kwietniowych odwiedzin Loubeta w Villefranche, powracał do Rosyi na Stambuł i Sofię. Posłuchanie u sułtana miał w obecności radcy poselstwa miejscowego, u ks. Bułgarskiego — w towarzystwie *attaché* wojskowego.

Francya pod Tangerem zbierała już eskadrę dla postraszenia rządu marokańskiego i posłała mu ultimatum. Pozornie idzie o zamordowanie Pouzeta, kupca francuskiego, rzeczywiście — o oazy pograniczne i sam sułtanat marokański. Sułtan plemionom Tuatu, zagrożonym przez Francyę, daje zachętę do obrony niepodległości, ale w sprawach dyplomatycznie już poruszonych ulega. Francuzi namyślali się, czy przyjąć wielkie poselstwo marokańskie, wybierające się na zgodę do Paryża: ostatecznie się namyślili i przyjmą, polityki jednak nie zmienią.

W Katalonii ciągłe rozruchy. W Corunii w Galicyi krew się polała.

W Wiedniu stała się rzecz niesłychana od czasów badeniady: Izba deputowanych d. 31 z. m. wydała dwie wielkie uchwały, i to nawet wśród patryotycznego uniesienia. Jedna z nich dotyczy kolei żelaznych prowincyonalnych, druga — kanałów i regulacyi rzek. Radykalni Niemcy przeciwko drugiej—głosowali tylko, nie rozbijając pulpitów: rozum stanu, cnota stanu, w tem stronnictwie nadzwyczajna. — P. Gołuchowski zbiera również tryumfy, mniej gorące, ale poważniejsze, niż p. Koerber, istotnie chyba tylko niezasłużony, ale szczęśliwy: obie komisye budżetowe w delegacyach uchwaliły mu votum zaufania i pieniądze na sprawy zagraniczne. T. zw. *exposé* podobało się gabinetom; włoski podziękował, stambulskiemu radość mąci przewidywanie zbiorowego upomnienia się Europy o lepszy zarząd w Macedonii.

W Berlinie na paradzie wiosennej obecny był gen. Bonnal, przysłany przez rząd francuski. Cesarz Wilhelm uderzył w braterstwo broni i wydał okrzyk *vive* na cześć nietylko przedstawiciela *ad hoc*, ale i całej armii francuskiej. Bonnal poprzednio zlekceważył paradę jako typ energii wojskowej, ale wypuścił z ust swoich *hoch*, gdy szło o grzeczność. Wiele z tego powodu wody, octem i goryczą zaprawionej, wylało się z obu stron po dziennikach.

Spór o poczty w Turcyi załagodzony. Porta wystąpi ma prawidłowo, dyplomatycznie; ale chyba i tego nie zrobi.

Zgromadzenie narodowe w Kanei żąda przyłączenia Krety do Grecyi. Turcy protestują; zaprotestuje i dyplomacya, ale z powodu nikłości przedmiotu rzecz się zrobi — sama, i to w krótkim czasie.

W ostatnich dniach maja pod Krügerdorpem, niedaleko od Pretoryi, Boerowie pobili Anglików, zabrali im działa, powystrzeliwali ich mnóstwo i pozabierali do niewoli.

Waldersee d. 3 b. m. wyjechał z Pekinu. W Taku zatrzymała go bójka Anglików z Francuzami i Niemcami.

ŻYCIE SPOŁECZNE

MUZEUM PRZEMYSŁU I ROLNICTWA.

Ćwierć wieku istnienia instytucyi publicznej—to cała historya rozwoju danej dziedziny społecznej i ekonomicznej. Warszawskie Muzeum przemysłu i rolnictwa skończyło 25 lat swego życia i zaznaczyło ten fakt zebraniem ogólnem tudzież ogłoszeniu sprawozdania z działalności w tym okresie. Zdawałoby się, że ognisko różnorodnych spraw i potrzeb ogółu rozszerzając się coraz bardziej powinno oświetlić szerokie terytoryum. Tym czasem w rzeczywistości większość naszego ogółu oddzielona była od tej instytucyi murem wysokim, z którego nie można dojrzeć ani samego ogniska, ani powierzchni oświetlonej. Muzeum, pomimo doniosłej i bardzo pożytecznej działalności nie jest popularnem śród ogółu. A jednak dość powołać się na kilka faktów, ażeby ocenić znaczenie i pożytek tej instytucyi: stacya meteorologiczna, stacya oceny nasion, pracownia chemiczna, biblioteka, sekcya odczytowa, odczyty popularno-naukowe, pokazy dla młodzieży szkolnej zakładów rządowych i prywatnych z dziedziny nauk przyrodniczych, do czego służą zbiory, przyrządy i materyały doświadczalne; wreszcie założona w roku przeszłym pracownia geologiczna — to są najważniejsze zadania dotychczasowe.

Wobec tak pożytecznej i doniosłej działalności społecznej dziwnym się wydać może prawie zupełny brak udziału ogółu szerokiego w pracy tej instytucyi i niemal zupełne pozastawienie jej na uboczu. Wytłomaczenie tego faktu znajdujemy poniekąd w ustawie zbyt ciasnej, która w ciągu 24 lat nie dopuszczała ogółu szerszego. Dla tego też do r. 1899 Muzeum liczyło zaledwie 89 członków i dopiero w ostatnich czasach zdobyło ich 284, dzięki zmianom w ustawie, które ułatwiły wstęp nowym kategoryom członków. Nadto zmiany te zobowiązują instytucyę do składania sprawozdań publicznych, ustanawiają wybieralność komitetu przez zebranie ogólne i wreszcie rozszerzają granice działalności, zwłaszcza w zakresie zakładania szkół fachowych rzemieślniczych i technicznych.

Dzięki temu instytucya, dotąd prawie zamknięta dla ogółu a dostępna tylko dla członków założycieli (którzy wnieśli po 3000 rb. wkładów), nabrała soków żywotnych i stała się społeczną. Po 23-letnim śnie letargicznym poczuła żywe tętno w sobie i weszła w pomyślny okres rozwoju. Można więc mieć nadzieję, że istotnie stanie się z czasem instytucyą społeczną we właściwem znaczeniu. Praca i zadania na przyszłość są bardzo rozległe. Przez wiele lat Muzeum gromadziło cenne zbiory, których jednak dotychczas nie może oddać do użytku publicznego z braku miejsca. Skutkiem tego dotąd one noszą charakter zbiorów prywatnych. Otóż komitet Muzeum już dziś czyni w tej mierze pewne zabiegi i posiada opracowany przez

---

MILA.

Skończyła gimnazyum ze złotym medalem. Na jej patencie wszystkie przedmioty ujęto w wielki pionowy nawias i na jego prawą stronę „wyrzucono" ogromną, kształtną piątkę. Obecnie daje lekcye i utrzymuje starych rodziców. Matka dokłada do tego zarobek z szycia, a ojciec ślepy nic nie robi.

Mila ma brata dwudziestoczteroletniego, który pisuje u jakiegoś prawnika i uważa się za początkującego literata.

Antek zupełnie rodzicom nie pomaga, owszem, często pożycza pieniądze od siostry i jak dotąd punktualnie zwraca, z czego jest dumny niepomiernie.

Mila nazywa go próżniakiem, ma przytem do niego szczególny żal za to, że, nic nie robiąc, jej pracy nie ocenia i często z nią się kłóci.

Zwłaszcza ma do niego pretensyę za to, że nie umiał, czy nie chciał uszanować tej radości, którą jaśniała po otrzymaniu patentu. Mila dzisiaj rozumie i czuje doskonale, że piątki do niczego w życiu nie obowiązują, ale był czas, gdy z uczuciem radości i starannie ukrywanej dumy spoglądała na pergaminowy arkusz z piątką.

— Wiesz co, rzekła kiedyś do Antka, taki patent można pod pewnym względem uważać za brzydki: jakiś pośpiech widać w tym nawiasie, jak gdyby za te piątki chciano mnie jak najprędzej z oczu stracić, — do domu wyprawić.

Antek z wyciągniętemi nogami siedział w starym fotelu i pogwizdywał.

— Powiedz mi, Antku — spytała figlarnie — ile też dwójek otrzymałeś w gimnazyum, tak, mniej więcej?

— Wiesz co, Mila — odpowiedział—pokaż ty mi jedną, tylko jedną uczciwie zarobioną dwójkę, to dopiero będę z tobą gadał.

— Możesz się nie fatygować.

Puściła jedną ręką arkusz, który się skręcił w rurę, a w chwilę potem zręcznie podrzucony spoczął na szafie..

Obecnie, mając sześć lekcyj dziennie, zarabiając 90 rubli miesięcznie, nie myśli o swym patencie, a przynajmniej nie zdejmuje go z szafy.

Jednak pozostał w niej pewien żal do brata za to lekceważenie.

— Nie wątpię — mawiała — że wszystkie stopnie są głupie, ale żeby dwójki miały dowodzić mądrości...

— Ależ, nie mądrości i nie, jako dwójki! — wołał Antek. Owszem, niech będą piątki, ale one rozumu dopiero przy dwójkach nabierają! Rozumiesz: w poniedziałek — dwójka, we wtorek ze strachu parę razy przeczytałem—piątka, we środę—pała, bo nie mam wcale książek. Oczywiście, na cenzurę nie mogę mieć więcej nad trójkę, ale w tej kolejce coś jest, jak Boga kocham!.

— Jest, jest... lenistwo!

— No, oczywiście, lenistwo musowe, chociażby, jako odporność względem szablonu.

— Tak, szablonu, naprzykład takiego, żeby kupić rodzicom obiad — codzień jednakowy.

— Chyba sama rozumiesz, że ta kwestya nie ma nic wspólnego ze zdolnościami.

— Tak, ale z sercem...

— Masz tobie, od piątek do serca: wasza kobieca logika, to prawdziwa „rundreise": w drodze do Pesztu mówi się: jadę do Wenecyi. Niby to wiecie, czego wam potrzeba, ale w danej chwili brak w tem wszystkiem ścisłości.

— Przestań Antek, proszę cię! Kiedy zaczniesz dopłacać pięć rubli na wspólne wydatki?

— Jeszcze nie teraz. Ale wiesz co? Uważam, że z tych moich ewentualnych zarobków moja pani siostra zrobiła dziwną broń. Ilekroć uda mi się dowieść, jak marnemi są twoje gimnazyalne powodzenia i jak dalece twój nawias na patencie odcina cię od szerszego świata, ty zawsze wówczas

p. Franciszka Lilpopa projekt wystawienia na posesyi głównej dwu nowych skrzydeł i wzniesienia drugiego piętra nad zabudowaniem dzisiejszem. Kosztorys wynosi 200,000 rub., dotąd jednak zdołano zgromadzić zaledwie czwartą część tej sumy.

Niezmiernie ważnym przywilejem w rozszerzonej ustawie jest prawo zakładania szkół rzemieślniczych i technicznych, które powinny być możliwie najdostępniejsze dla młodzieży rzemieślniczej. Potrzebne są mianowicie szkoły przygotowawcze, pomocnicze, dopełniające i artystyczne; — wszystkie pilne. Obecnie zaś jest chwila bardzo stosowna i ważna do wybrania typu szkół najpilniejszych, gdyż rada państwa przystępuje do roztrząsania sprawy szkolnictwa fachowego. Nasze Muzeum posiada już dom i legaty przeznaczone na szkołę, co wszystko przedstawia majątek w sumie 100,000 rubli.

Ponieważ do rady państwa wniesiono projekt szkół artystyczno-przemysłowych, więc dają się słyszeć zdania, że przedewszystkiem Muzeum powinno się starać o taki typ szkół. Zapatrywań tych nie podzielił p. J. Rzętkowski i na zebraniu ogólnem a następnie w *Gazecie rzemieślniczej* wypowiedział swoje poglądy, które pomimo iż dotyczą sprawy bardzo ważnej i żywotnej, nie odbiły się nawet słabem echem na szpaltach prasy naszej. Pan Rzętkowski uważa za najpilniejsze i najpotrzebniejsze w danej chwili szkoły uzupełniające, praktyczne. Projektodawca tak rozumuje: „przyjdą do niej rzemieślnicy którzy już ukończyli naukę warsztatową i sami czują potrzebę dalszej wiedzy fachowej. Przyjdą sami i sami za naukę płacić będą z zarobków własnych, więc nie na próbę, nie z nakazu rodziców lub opiekunów, lecz z własnej woli i potrzeby. W takich warunkach jest pewność pracy pożytecznej i stałej. I taka młodzież właśnie o podobne szkoły dopomina się, a zdanie jej popierają wytrawni majstrowie doświadczeni inżenierowie i technicy". Taka szkoła wprawdzie nie będzie mogła kształcić całych rzesz rzemieślniczych, ale przynajmniej wykształci jednostki najzdolniejsze i chciwe wiedzy. „Po wyjściu ze szkoły, pracując śród rzeszy, będą one roztaczać swoją wiedzę fachową i innych uczniów szkole przygotowywać, wpływając istotnie na postęp. Należy postępować krok za krokiem, boć i rzesze całe nie pojmują jeszcze znaczenia szkoły, muszą być stopniowo przygotowywane, a najlepiej—przez jednostki wśród nich i z niemi pracujące".

Co do szkół artystyczno-przemysłowych, to przedewszystkiem „trzeba umieć zrobić dobrze, prędko i trwale a z właściwym rachunkiem dopiero później myśleć o artystycznem wykończeniu. Wszystko kolejno. I tak już mamy dziś bardzo dużo wybujałych aspiracyi artystycznych na polach różnorodnych, ale brak nam pracy sumiennej i umiejętnej."

Słuszna jest uwaga p. Rzętkowskiego, że do założenia szkoły praktycznej, uzupełniającej, niekoniecznie trzeba czekać zatwierdzenia typów ogólnych. Na przeszłorocznym zjeździe rzemieślniczym w Petersburgu zalecono typ szkoły, wskazywany obecnie przez p. Rzętkowskiego i już nawet sprawę tę złożono w ministeryum. Jeszcze wcześniej, bo przed trzema laty, p. Rzętkowski przedstawił taki typ szkoły inspektorowi szkół m. Warszawy i projekt ten był wtedy życzliwie przyjęty. Tym sposobem w sferach właściwych grunt jest już przygotowany. Przed dwoma laty, gdy Muzeum uzyskało prawo zakładania szkół rzemieślniczych, komitet tej instytucyi powołał komisyę, do której weszli ludzie obeznani ze sprawą. Byli to pp.: St. Rotwand, Wł. Leppert, St. Natanson, Aleksander Makowiecki, inż. Edm. Diehl, dyrektor Mitte, inż. Michalikowski, Józef Rzętkowski, inż. Edward Wawrykiewicz. Ostatecznie wszyscy oni zgodzili się na praktyczną szkołę rzemieślniczą. Owocem tych narad były szczegółowo opracowane projekty szkół praktycznych dla ślusarzów i stolarzów.

Jak widzimy, cała ta sprawa była już dostatecznie i wszechstronnie rozważana, za wprowadzeniem zaś proponowanego typu szkoły przemawiają jeszcze inne względy. Dom przy ul. składowej tudzież kapitały Sierakowskiej i Zbyszewskiej (30,000 rubli) zapisane były ze specyalnem przeznaczeniem — na utrzymanie szkoły rzemieślniczej lub technicznej. Nadto na otworzenie praktycznej szkoły rzemiosł zmarły Edward Czaban przeznaczył 27,000 rb.

Zdaje się, że sprawa cała jest dostatecznie wyświetlona i stoi na właściwym gruncie. Należałoby tylko możliwie najprędzej przystąpić do wykonania projektu, tem bardziej, że nie wymaga on tak wielkich kosztów i zabiegów, jak szkoły przygotowawcze ogólne.

P.

Z ŻYCIA FRANCYI.

Paryż, w maju.

Rozszerzenie konkordatu.

Prawo przeciw kongregacyom zakonnym wkrótce przejdzie pod obrady senatu. Już pracuje nad niem komisya. Nie ulega wątpliwości, że senat prawo to przyjmie; przeciwnie, można nie bez zasady przypuszczać, że obostrzy on je, a raczej— że przywróci niektóre jego dyspozycye, złagodzone przez Izbę deputowanych.

Charakterystycznem wogóle i do pewnego stopnia zachwiewającem ustalone poglądy na stosunek Izby wyższej do niższej jest zachowywanie się senatu w całym ciężkim kryzysie, który od lat kilku, dzięki manewrom militaryzmu i klerykalizmu, przechodzi rzeczpospolita francuska. W konstytucyi francuskiej, uchwalonej w r. 1875 przez Zgromadzenie narodowe, w ogromnej większości klerykalne i konserwatywne, senat zjawił się z charakterem hamulca wszelkiego postępu w kierunku demokratycznym. Senatorowie, wybierani w pośrednich wyborach trzeciego stopnia i aż na lat dziewięć, a z początku w trzeciej części wprost mianowani dożywotnio przez Zgromadzenie narodowe, mieli być znacznie mniej zależni, niż deputowani, od prądów ludowych, od wszelkich nowych kierunków, i być obrońcami form tradycyjnych, ustalonych. Tak też było z początku. Izba poselska oddawna już była w rękach stronnictwa republikańskiego, kiedy w senacie jeszcze większość była jawnie klerykalną, a skrycie — monarchiczną. O opór też senatu rozbił się pierwszy atak, wymierzony już przed dwudziestu laty przez rzeczpospolitą przeciw podkopującym ją zakonom. Było to w latach 1879—80. Świeżo w pamięci wszystkich stała ostatnia próba, uczyniona w r. 1877 przez Mac-Mahona w celu powstrzymania demokratyzacyi parlamentu i zapobieżenia ostatecznemu umocnieniu republikańskiej formy rządu; właśnie Mac-Mahon podał się był do dymisyi z prezydentury. Całe duchowieństwo, cała opinia katolicka we Francyi i innych krajach, kierowana przez papiestwo, a przedewszystkiem ruchliwa przednia straż kościoła „zmodernizowana" już, nie kontemplacyjne bynajmniej, lecz bojujące zakony, stały po stronie Mac-

---

wytykasz mi brak pieniędzy. Czy to logiczne i czy to serca dowodzi, moja Milu?

— Nie mów do mnie w ten sposób, bo cię znienawidzę!

— A więc prawdziwem jest moje odkrycie.

— Szelma! — krzyknęła Mila i uderzyła w płacz.

W takich razach Antek brał kapelusz i z cynicznym uśmiechem psychologa odkrywcy wychodził z pokoju. Był zły na nią za to, że miała w sobie rzeczywiście coś więcej nad piątki i wzorowe sprawowanie. Czuł, że Mila się rozwija i gniewała go pewność, że dziewczyna pracuje nad sobą samoistnie, drwiąc z jego dowodzeń o zdolnościach. Wszystko, co Antkowi imponowało w kobiecie postępowej, rozwijało się w Mili, lecz w sposób dla niego niezrozumiały. Czuł, że jego system wykpiwania piątek siostry nigdy nie był pedagogicznie słusznym, zawsze sporą dozę zazdrości zawierał, a obecnie jest stanowczo spóźnionym. Nie miał nawet tego zadowolenia, że jego metoda oddziaływania na siostrę, metoda, której się dzisiaj wstydzi, przyniosła dziewczynie korzyść. Ponieważ nie miał natury wyższej, więc go to wszystko drażniło. Lekceważony przez dziewczynę, spełniającą tak poważne obowiązki z całą pogodą, czyha na każdy jej krok niewłaściwy, na każde spojrzenie, słówko, ażeby jej dać uczuć swoją wyższość duchową.

— Mila, masz dziesięć rubli, które ci byłem winien; jestem punktualny, co?

— Jesteś niepoprawny próżniak!

— Czy dlatego, że komornego nie płacę?

— Nie, dlatego, że jesteś zarazem głupi.

— Moje dziecko — rzekł — dlaczego mnie tak nazywasz, wiedząc dobrze, co jestem wart pod względem intelektualnym?

— Dla mnie — nic.

— Oczywiście, sprowadzając wszystko do płacenia komor...

— Milcz! — krzyknęła siostra i znowu w płacz.

— A, niech takie życie dyabli porwą, jeżeli im się oczywiście na coś przyda, w co nie wierzę. Czego wy chcecie ode mnie? Płacę za pokój, siedzę cicho, a nadewszystko rozmawiam spokojnie...

Podczas takich kłótni matce kapią łzy na robotę, a ślepy ojciec podnosi głowę do góry, jak gdyby chciał sprawdzić, które z dzieci więcej zawiniło. Po każdej odpowiedzi Antka stary uśmiecha się, rzec można, z zadowoleniem wewnętrznem i podziwem dla dowcipu syna.

— Antek! — rzekł kiedyś skrzypiącym głosem—dlaczego ty ciągle mówisz: „oczywiście," to ci wejdzie w nałóg.

— Wolałabym ten, niż inne — dodała Mila, nie patrząc na nikogo.

— Jakie? — zapytał Antek.

— Nie mów do mnie!— odburknęła z jakimś sztucznym wstrętem w głosie, wyglądając przez okno, rzuciła:

— Darmozjad...

— Miluniu, nie irytuj się, moje dziecko — rzekła matka.

Stary podniósł głowę jeszcze wyżej, jakby teraz właśnie czekał na odpowiedź syna i był pewien, że ją usłyszy.

Antek, rozłożony w fotelu, patrzył na siostrę przymrużonemi oczami i cedził zwolna:

— Widzisz, moja kochana, innych nałogów, prócz literackiego, nie posiadam, a że cię mój talent, który mi przyznają, drażni, cóż ja temu jestem winien?..

Mila oparta łokciami na oknie zatkała sobie uszy.

— Oczywiście, wyprowadziłbym się stąd, gdybym uważał, że jestem na twojem utrzymaniu, ale tak nie jest, a mogłoby być zupełnie inaczej, gdybym tymi, o tymi, patrz, bo warto spojrzeć i posłuchać, tylko tymi dziesięcioma palcami wykonał filisterskie rozkazy mózgu, które we mnie jeszcze nie wygasły.

Mówiąc to, zerwał się z fotelu i przechylony ku siostrze, drżał...

Mila rzekła z ironią:

— Wykonaj chociaż jeden z tych jakichś rozkazów... dla nich...

Mahona przeciw rzeczypospolitej. Doszedłszy wreszcie z takim trudem do władzy, republikanie przypomnieli sobie, że zakony te, tak wrogie rzeczypospolitej, wychowują znaczną część młodzieży, która później na polach cywilnem i wojskowem ma służyć rządowi republikańskiemu, i wszczepiają jej swe wrogie poglądy. Aby temu zapobiedz, ministeryum Freycineta, w którem tekę oświaty trzymał Ferry, przedstawiło parlamentowi projekt prawa, które w całości swej dotyczyło organizacyi szkół średnich i wyższych, ale zawierało słynny § 7-y, zabraniający członkom kongregacyj niedozwolonych utrzymywania szkół i nauczania. Po skodyfikowaniu tego projektu przez komisyę, której prezesem był znakomity uczony, przyrodnik i pedagog, Paweł Bert, Izba deputowanych, pomimo zaciętego oporu prawicy i centrum, już wówczas prowadzonego przez Ribota, przyjęła projekt wraz z § 7 znaczną większością głosów. Lecz pozostawał senat. Tam napróżno Freycinet rozsypywał skarby swej dyplomacyi, Ferry—uderzał w surmę bojową gwałtownej wymowy. Napróżno wytrawni prawnicy, z prezesem trybunału kasacyjnego na czele, przypominali, że nieuznawanie zakonów, o ile nie otrzymują one na swo istnienie specyalnego pozwolenia prawodawczego, jest zasadą przewodnią francuskiego prawa publicznego nietylko za dawnych królów, ale i podczas rewolucyi; nietylko podczas rewolucyi właściwej, ale i za kodyfikatora Francyi nowożytnej, Napoleona I, który z konkordatu wyłączył zakony, a w specyalnym dekrecie (z messidora r. XII) uzależnił je od swego pozwolenia; nietylko za „burzyciela" Napoleona, ale i za odrestaurowanej monarchii z Bożej łaski Burbonów: prawa z lat 1817 i 1825 powtórzyły tę samą zasadę — konieczności pozwolenia prawodawczego, a ministeryum Martignaca za Karola X wydało akurat dekret jednobrzmiący z § 7-ym — zakaz nauczania członkom kongregacyj niedozwolonych — do którego ambasador w Rzymie, Chateaubriand, uzyskał milczącą aprobatę papieża. Argumenty te były daremne. Od prawicy klerykalno-monarchicznej odskakiwały, jak groch od ściany; ta partya za Burbonów nie potrzebowała zakonów, bo i bez nich miała władzę w swem ręku, mogła nawet starać się o okiełznanie pewnych, wówczas niebezpiecznych jeszcze, chrześciańsko - demokratycznych i równościowych zapędów zakonników. Obecnie jednak — przed 20-tu laty, jak dziś — potrzebowała ich ona do panowania nad umysłami części przyszłych urzędników i szerokich warstw ludowych; żywioły demokratyczne i równościowe mogą dziś służyć jako odtrutka, jako szczepionka przeciw bakcylowi groźniejszemu. Szalę zaś na ich stronę przechyliła grupa pseudo-liberałów, a w duszy wsteczników, pod wodzą Dufaure'a i Juliusza Simona. Ci przemówili w imię tolerancyi i swobody stowarzyszenia się — jak dziś Ribot i de Mun. Jeszcze niedawno, przed 6—7 laty, ci sami ludzie odrzucali stanowczo wniosek zniesienia starych, anachronicznych ograniczeń swobody stowarzyszania się wogóle; naraz zostali gorącymi jej zwolennikami, kiedy był zagrożony przywilej zakonów. Dzięki im § 7 odrzucono. W kilka dni jednak potem ministeryum, poparte przez Izbę, której jedynie przyznawano wówczas prawo obalania ministeryów, wydało słynne dekrety, rozwiązujące zakony, a przedewszystkiem zgromadzenia jezuickie, a siła zbrojna wprowadziła je w wykonanie. Dekrety owe wydano na zasadzie tego, że prawa z lat 1791, 1804, 1817 i 1825 nie były nigdy zniesione.

Mieszczaństwo zaczęło jednak wkrótce cofać się ze swych pozycyj postępowych, nadeszły dla zakonów lepsze czasy, pociciu zebrali się znów rozproszeni członkowie, zaczęło przybywać darów i zapisów, rozkwitły niebywale szkoły, zaludniły się wychowańcami klasztornymi urzędy, a przedewszystkiem sztab wojskowy, przyszedł do rządów Méline i „nawróceni monarchiści" — i zdało się ruchliwej przedniej straży, że można porzucić ostrożność i otwarcie zaznaczyć swą władzę. Sposobnością była, jak wiadomo, sprawa Dreyfusa. Od r. 1897 rozpętał się kryzys podobny do Mac-Mahonowskiego, choć w inne obleczony formy. Nastąpiła też ze strony republikańskiej reakcya silniejsza, niż przed dwudziestu laty — i skuteczniejsza, a to w znacznej części dzięki senatowi, który przez ten czas zmienił się zupełnie. Właściwie nie zmienił się jego zasadniczy charakter. Po dawnemu jest on mniej zależny, niż Izba poselska, od prądów, w danej chwili nurtujących masę ludową. Tylko prądy te zmieniły się nieco. Obok systematycznego, planowego, choć zasadniczo-radykalnego dążenia do poprawy bytu przez konsekwentny rozwój zasad republikańskich, zjawiły się wichrzenia czysto demagogiczne. Zamaskowani klerykali i wrogowie republiki i postępu, znaleźli postrach w części masy, niezadowolonej z powolności reform społecznych i z zepsucia sfer rządzących.

Prądy te, choć niemające przed sobą długiej przyszłości, odbiły się natychmiast w Izbie poselskiej, ale na senat nie podziałały prawie wcale. „Zachowawczy," według ideału Napoleona I, w dziedzinie społeczno-ekonomicznej, a przez to — po części sprawca złego, stawał się też energicznie zachowawczym co do zasad—ustroju politycznego, czem poniekąd złe naprawił. W szczególności walka, toczona przez ministeryum Waldecka-Rousseau przeciw zakonom, znajduje tym razem ze strony senatu stanowcze poparcie.

Pierwotny projekt prawa odnośnego wyszedł z trzymiesięcznych obrad w Izbie dość znacznie zmieniony. Istota jego polegała, jak wiadomo, na tem, że żadna kongregacya zakonna nie ma prawa istnieć, o ile nie uzyska pozwolenia na to od obu Izb parlamentu. Istota ta pozostała bez zmiany; ale wprowadzono poprawki w dwu kierunkach. Z jednej strony dlatego, iż projekt zawierał równolegle zniesienie dotychczasowych ograniczeń swobody stowarzyszania się, usiłowaniom skrajnej lewicy zawdzięczać należy usunięcie z niego większości takich przepisów, które mogły się zwrócić przeciw kongregacyom i stowarzyszeniom świeckim wogóle, które zbyt jeszcze krępowały swobodę ruchów tych ostatnich. Choćby senat chciał cofnąć niektóre z tych ustępstw, nie przyda się to na nic, bo większość Izby na nowo je uchwali: mają one opinię publiczną za sobą. Z drugiej jednak strony prawicy i jej sprzymierzeńcom umiarkowanym udało się też wyrwać projektowi niektóre ostrza, wymierzone przeciw zakonom. Projekt pierwotny ogłaszał mianowicie za rozwiązane te, które w ciągu pół roku od proklamowania prawa *nie uzyskają* pozwolenia parlamentu; Izba uchwaliła, że w terminie półrocznym muszą zakony poczynić jedynie kroki o uzyskanie pozwolenia, co zmuszałoby parlament do poszczególnego rozstrzygnięcia kilkuset, albo kilku tysięcy podań. Podług pierwotnego projektu majątek rozwiązanych zakonów, po obliczeniu tylko ściśle osobistej własności członków, przechodził do emerytalnej kasy robotniczej; uchwalona poprawka (p. Lhopiteau) dopuszcza do rewindykacyi swych części wszystkich ofiarodawców i zapisodawców w terminie niemal nieogra-

---

Wskazała rodziców.

Antek poszedł wzrokiem za jej ręką i oboje spojrzeli na szyjącą matkę i ślepego ojca, jakby dla sprawdzenia, ile też da się dla starych zrobić.

Matka nie śmiała podnieść oczu na żadne z dzieci, które w taki sposób naradzały się nad losem rodziców. Wtem ślepiec roześmiał się i szepnął:

— Antosiu, powiedz jej: „oczywiście"!

—Tak, on to umie bardzo dobrze — zawołała Mila i znowu odwróciła się do okna.

Antek wzruszył ramionami, włożył ręce do kieszeni i wyszedł do swego pokoiku.

W takich chwilach Mila usiłowała sformułować sobie żal do brata

— Dlaczego — myślała —poczucie spełnianych obowiązków nie daje mi bezwzględnego szczęścia? Przecież nie chcę milionów, pracuję chętnie... dlaczego, dlaczego?

I spoglądała na pokój brata.

— On powinien mnie uwielbiać — powinien być pokornym... Dałabym mu pensyę, gdyby to uczynił... Bo i co więcej warto: jego postępowe frazesy i próżniactwo, czy moja praca? Niegodziwiec. On sprawia swoją ironią to, że nie mogę w sobie nie większego wynaleźć ponad zdolność zarobkowania, gdyż na innych punktach on mnie do siebie nie dopuszcza, nie uznaje moich dążności... a ja je mam...

— Antek! —zawołała.

— Słucham.

— Proszę cię na chwilkę...

Matka przestała szyć i patrzyła na Milę. Wszedł.

— Oświadczam ci, że więcej odemnie pieniędzy nie dostaniesz nigdy.

— Ach — ciągle o tych pieniądzach.

— Przeciwnie, już o nich słyszysz odemnie po raz ostatni.

— Niech i tak będzie; ja zaś oświadczam, że za dwa tygodnie wyprowadzam się.

— Co?

— Tak. Będę mieszkał z kolegą: przestanę ci dokuczać.

— To dobrze się składa — bo twój pokoich przyda mi się. Coraz częściej ktoś mnie odwiedza: muszę mieć swój kąt spokojny.

— Będziesz go miała.

— Tak, za moje pieniądze.

— Znowu pieniądze?..

— Precz stąd łaj... ach mamo, mamo! rzuciła się z płaczem do matki. Ślepiec szepnął:

— Oczywiście, gałgan...

Matka tymczasem pieściła Milę. — Moje biedactwo — no, no, nie płacz — nie.— Ja cię przed Antkiem nie mogę bronić: wiesz, od ostatniej sceny dałam sobie słowo, że się nie odezwę. Pamiętasz, jakto on się wtedy roześmiał i zapytał: czy mateczka chce nademną pozyskać prawo własności? Nie rozumiem tego nawet, ale ten jego śmiech zrozumiałam. On już przestał być dzieckiem, i zatracił wdzięczność dla rodziców. Wprawdzie, nie ma za co być tak daleco wdzięcznym, ale zawsze...

Mila otarła oczy chusteczką i wpatrzona w matkę słuchała.

— Oczywiście — macie panie racyę — zawołał z drugiego pokoju Antek.

— A co? mruknął starzec i uśmiechnął się, kręcąc głową z podziwu. Podczas tej sceny ktoś do drzwi zapukał.

— Proszę, zawołała Mila i odskoczyła od matki, nie chcąc, ażeby ktoś obcy jej pieszczotliwą pozycyę dostrzegł. Do pokoju weszła otyła dama.—Ach, to pani! Bardzo proszę, niech pani pozwoli... Przy stoliczku Mili stał kufer i jedno krzesło. Matka jej, widząc, że zanosi się na dłuższą rozmowę, wstała z krzesła i chciała gościowi usłużyć. Widząc to Mila, rzekła:

— Niech mateczka sobie nie przerywa. Służę pani. Usiadła sama na kufrze, a otyła dama, przygarnąwszy do siebie wiedeńskie krzesło, zakołysała się na niem, jak jeździec na koniu.

— Przepraszam, może państwu przeszkadzam?

— Nie przeszkadza pani. Czem mogę służyć?

niezonym, co sprawia, że kasie emerytalnej nie dostanie się nic. Otóż powszechnie się spodziewają, że ministeryum będzie przed senatem żądało pierwotnej redakcyi i że senat ją przywróci co do tych dwuch punktów, a większość Izby z prawej strony, raczej decydujące o niej centrum, będzie musiało ustąpić, bo bliskość wyborów i obawa przed opinią republikańską do tego je zmusi.

Zbliża się zatem dzień rozprawy z zakonami antyrepublikańskimi. One i ich zwolennicy próbują jeszcze ostatecznej dywersyi. W tym celu przybył do Paryża hr. de Lur-Saluces, zasądzony zaocznie przez senat w procesie Déroulede'a, mniemając, że zmusi tem senat do rozpoczęcia nanowo jego procesu i uniemożebni mu w ten sposób obradowanie nad prawem o stowarzyszeniach. Senat jednak i rząd wolą względem jednego spiskowca zrzec się kary i sprawę umorzyć, bo odwłoka obrad mogłaby później sprawę przeciągnąć aż do zakończenia się mandatu obecnej Izby poselskiej. I ten więc manewr spełzł na niczem.

W tym mniej więcej czasie ukazuje się list pasterski arcybiskupa Fuzeta do duchowieństwa jego dyecezyi prowincyonalnej, obliczony oczywiście na szerszy efekt. Arcybiskup Fuzet, który zaliczony jest do najwierniejszych dostojników kościoła, podnosi w nim myśl zastosowania konkordatu i do duchowieństwa zakonnego, które dotychczas jego klauzuli nie podlegało. Wychodzi on oczywiście z tej zasady, że z punktu widzenia rządu francuskiego nie powinno być między duchowieństwem świeckiem a zakonnem takiej różnicy w stopniu jego zależności od rządu krajowego. Gdy biskup, proboszcz i wikary w równej mierze zależą od nominacyi rządu, potwierdzonej tylko przez Rzym, przełożeni zakonów zależą jedynie od wyborów i zatwierdzani są wyłącznie przez papieża. Wprawdzie, podług prawa kościelnego, zakonnicy w każdej dyecezyi podlegają władzy biskupa miejscowego, ale bardzo często zdarzają się między nimi starcia, zakon ucieka się do Rzymu i odnosi zwycięztwo. Niezbyt dawno właśnie był taki zatarg między biskupem m. Laval, monsignorem Geay a przełożonym kongregacyi, utrzymującej szkołę i mającej jawne dążności arystokratyczno - monarchiczne. Napoleon, jak już wspominaliśmy, w konkordacie nie pozwolił wcale wymienić zakonów; przywracając we Francyi religię katolicką i nadając jej pewne stanowisko prawne, wolał zakony mieć bezpośrednio pod swoją władzą, nieograniczoną żadnemi umowami. Rezultat późniejszy był taki, że zakony rozwinęły się w zupełnej niezależności od rządu krajowego. W dyskusyach nad projektem prawa Waldeck-Rousseau podkreślał tę różnicę między nimi a duchowieństwem świeckiem. Inny, umiarkowany republikanin, poseł Jonnart, w liście otwartym do Méline'a wyraził też przed paru miesiącami myśl tę, że zakonnicy, jeśli nie chcą być źle traktowani przez państwo, powinni się poddać pod jego kontrolę. Otóż widocznie arcybiskupem Fuzetem kierowała nadzieja, że podsuwając rządowi republikańskiemu możność objęcia kontroli nad zakonami, zatwierdzania ich przełożonych, powoływania ich, jak obecnie biskupów, przed sąd rady stanu za nadużycia itp., odwróci coraz bliższą katastrofę, grożącą zakonom. Papież w swym rozgłośnym liście do arcybiskupa paryskiego Richarda sam dał zresztą do zrozumienia, że konkordat może być przecie zmieniony za zgodą obu stron.

Wątpimy jednak, aby myśl ta miała jakiekolwiek widoki powodzenia. Współczesna dążność rozwojowa coraz bardziej się wysuwa z pod znaku konkordatów, a wchodzi w znak oddzielenia kościoła od państwa, jak w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Takie rozszerzenie i wzmocnienie konkordatu mogłoby zapewne być bardzo pożądane dla kościoła, któremu uznane stanowisko urzędowe przynosi wielkie korzyści i dodaje powagi, a kontrola rządowa ma bardzo małą skuteczność. Odpowiadałoby może i życzeniom republikanów umiarkowanych, którzy odziedziczyli napoleoński sposób pojmowania państwa i chcieliby mieć w zakonnikach, jak Napoleon w duchowieństwie świeckiem, wpływowych pomocników. Ale właśnie dlatego nie dopuszczą do niego żywioły z lewicy społecznej. Jak świadczą mowy Pelletana i Vivianiego, żywioły te z przykrością uchwalały środki brutalnej, policyjnej walki przeciw niebezpiecznym zakonom; przedstawiciele ich mówili wyraźnie, że gdyby kościół wyrzekł się tego przywileju, jaki mu daje konkordat, gdyby zatem towarzystwa zakonne występowały do współzawodnictwa z innemi na polu szkolnictwa i propagandy na warunkach równości, to najchętniej daliby im też taką wolność, jaką mają w Ameryce. Że jednak kościół broni swego przywileju, nie chce oddzielenia od państwa, trzeba mu więc tem bardziej dać uczuć ciężar następstw upaństwowienia; może to przyspieszy chwilę upadku konkordatu, jako szkodliwego i bezcelowego dla stron obu. Tem bardziej więc lewica społeczna nie zgodzi się na takie udoskonalenie i utrwalenie konkordatu; czeka ona niecierpliwie chwili, kiedy będzie miała wolne ręce i kiedy jej idee będą mogły stanąć do wolnej rywalizacyi z „pieśnią, która — jak mówi Jaures — od wieków kołysała do snu nędzę i słabość ludzką."

Dr. K. Spollan.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Jak możemy.

Maj bywa u nas tak piękny, że można w nim widzieć lub doświadczać wszelkich niegodziwości, a mimo to żałować, że mija i pragnąć, ażeby znowu powrócił. W jego czarach topnieją wszystkie smutki i wstręty. Idzie on przez świat z wonnym balsamem, który przykłada na ludzkie rany, uśmierza nim bóle, nadaje smak i rozkoszną woń cuchnącemu i obmierzłemu życiu. Cudny, dobry maj!

Jednego z owych rajskich dni daremnie usiłowałem czytać książkę, która mnie bardzo zajmowała i od której kiedyindziej nie mógłbym oderwać uwagi. Chociaż z mojego okna widać było tylko krążek nieba, nakrywający głęboką studnię podwórza, a świeże zapachy sąsiedniego ogrodu wpadały zmieszane z gorączkowym i zgniłym oddechem miasta, czułem jakieś nieprzeparte ponęty, jakieś kuszące szepty, które mnie wywabiały tam, gdzie natura wyprawia swoje wiosenne gody. W polu, w lesie, na łąkach i błoniach bije przyspieszony puls życia, pracują w niezmordowanym ruchu potężne jego siły i organy, przyroda, jak czarnoksiężnica osłonięta tajemnicami środków i celów, opromieniona blaskiem uroków, tworzy swoje wielkie dzieła i zdumiewające cuda. Czy podobna wobec tego widoku lub nawet tylko jego przeczucia czytać książkę,

---

— Służyć? Boże drogi, chyba pani żartuje, kochana panno Emilio? Życie pani nazwaćby należało szeregiem dobrodziejstw, które kochana pani wyświadcza naszym dzieciom. Ach, wie pani, życzę pani, naturalnie, ażebyś dostała pięknego i bogatego człowieka za męża, ale gdyby to było możliwem, powiedziałabym: nie zajmuj się nauką własnych dzieci. Ile to strapień, ile zawodów, goryczy... ach...

— A o co właściwie chodzi, proszę pani?

— Właśnie mówiłam, że przyszłam udać się do twego serduszka i rozumu, kochana panno Emilio?

— Czy sprawa dotyczy Heluni?

— Niestety, tak. Kochana pani zna to dziwne, nie chwaląc się, dziecko. Nie przesadzę, jeżeli powiem, że ja, ja sama tej dziewczyny nie znam. A pani ma taki wpływ na nią. Ja nic nie mogę, a tyle mam środków po temu. Ach, to dziecko mogłoby się wykąpać w morzu łez, które z jego powodu już wylałam. Kobiety w moim wieku wychodzą jeszcze za mąż, starają się o to usilnie, ale ja powiedziałam sobie, zostawszy wdową, że przestałam być kobietą, przynajmniej pod pewnym względem, i niepodzielnie oddałam się Heluni. Więc...

— Czy znowu dwójki?— zapytała Mila.

— Niestety, tak, kochana pani. Dwójki, i to coraz częstsze, a ona powinna mieć same piątki.

Mili, gdy to usłyszała, przyszła dziwna myśl do głowy i podniesionym głosem rzekła, oglądając się na pokój brata:

— Proszę pani, teraz piątki nie w modzie, ludzie śmieją się z tego.

— Ach, dobrze pani żartować, ale ja panią kochaną znam: pani wie, że tylko głupcy mogą się śmiać z wzorowych stopni.

Mila uśmiechnęła się i zaparła dech w piersiach, czy nie usłyszy jakiego szmeru w sąsiednim pokoju. Po chwili rzekła poważnie:

— Więc chodzi o wyratowanie promocyi, a to już Wielkanoc za pasem, *periculum in mora.*

— Jak pani to określa?—spytała skwapliwie dama.

— Mówię poprostu, że należy rachunek przyśpieszyć...

Z pokoiku doszedł stłumiony śmiech, aż się gość obejrzał. Mila drgnęła, będąc pewną, że Antek jej łacinę wyśmiewa. Spiesznie wstała z kufra i zamknęła drzwi dość ostro.

— Ach, czy ja aby moją gadaniną nie przeszkadzam tam komu?

— Nie, nikomu pani tam nie przeszkadza.

Umówiwszy się o lekcyę, dama zarzuciła całą rodzinę pochlebstwami, a ojca Mili upewniła, że oczy jego miałyby o tyle wartość, o ile by niemi na córkę mógł patrzeć, gdyż świat wogóle nie wart oglądania i że, kto wie, czy nie lepiej jest wielu rzeczy i ludzi zupełnie nie widzieć.

Na to Mila odrzekła:

— O, ma pani zupełną słuszność.

Po wyjściu damy Mila przez parę minut wyglądała oknem, wsłuchując się w klekot maszyny.

— Więc ja nie mam prawa powiedzieć *periculum in mora*? Nie, to się tylko temu cymbałowi tak zdaje.

Zacisnęła zęby i uczuła łzy.— Obejrzała się na ojca: wypadkiem patrzył na nią, gdyż zakrywała mu okno, które jak plamę mętną, mógł widzieć.

— On Antka więcej kocha odemnie — pomyślała z żalem.

— Bo nie widzi — dodała w myśli. — Spojrzała na swój stolik i dostrzegła czyjąś portmonetkę.

— Ach, ta pani zostawiła pieniądze. Antek, Antek! chodź no prędzej. — Drzwi otworzyły się szybko i Antek pokazał głowę.

— Czego sobie życzysz?

— Mój drogi, zbiegnij za tą panią, co tu była; poszła z bramy na lewo: oddaj jej tę portmonetkę...

— Daj.

która jest łańcuchem domysłów człowieka, a może jego omyłek?

Ale nie wszystkich natura w swym najwspanialszym majestacie i wdzięku zarówno olśniewa. Są ludzie, którzy na jej łonie doznają tylko nudów, którzy nie przerwaliby partyi bilardu lub posiedzenia w knajpie dla zobaczenia wschodu słońca ze szczytów alpejskich lub przejścia przez aleję kwitnących bzów. Czemu? Skąd pochodzi ta bezwrażliwość? Mamy różnorodne dusze.

Odłożywszy książkę, zacząłem przeglądać ilustracyę francuską. Między innymi znalazłem w niej obrazy chorych na malaryę we Włoszech. Wiadomo, że pewne bagniste okolice Italii są gniazdami tej choroby, która wyniszcza i zabija tysiące nieszczęśliwych mieszkańców. Zauważono, że pewien gatunek komara przenosi jej zarazki; zalecono przeciw niemu siatki, ale są to dopiero wątpliwe próby. Tymczasem gromady cierpią i giną. Patrząc na wizerunki tych wynędzniałych biedaków, pytałem siebie: dlaczego my je oglądamy z płytkiem współczuciem, niesięgającem swą trwałością po za chwilowe wrażenie? Dlaczego ich niedola nie boli nas głęboko i długo? Dlaczego nas nie wstrząsa, nie wplata się w nasze późniejsze myśli, nie pobudza do jakiegoś czynu? Co to znaczy, że przypatrujemy się odbiciom scen strasznego pomoru z takim samym spokojem, jak ilustracyom wystawnych obrzędów ślubnych lub polowań na jelenie? Kiedyś obserwowałem twarze pewnego grona towarzyskiego, przeglądającego szereg rysunków z historyi głodu w Indyach. Kilka osób nerwowych chciało co prędzej pozbyć się niemiłego widoku; jedna westchnęła, reszta nie zdradzała silniejszego wzruszenia. Krótka rozmowa o tym przedmiocie nie wyszła po za granice banalnych uwag: „Biedni ludzie... Prawda, że biedni, ale sami sprowadzają sobie klęskę swem lenistwem i nieopatrznością... Jednakże rząd angielski, który ich wyzyskuje, powinienby ratować... Czy on może tylu nakarmić?.. Zdaje mi się, że nie należy bezwzględnie wierzyć rysownikom. Lubią oni przesadzać... E, nie, głód musi tam być srogi." I koniec smutku wobec galeryi obrazów, przedstawiających opadłe z ciała szkielety milionów ludzi umierających z głodu. Skąd ta obojętność? Tak są nastrojone dusze tego czasu.

Śród tych rozmyślań wziąłem do ręki gazetę niemiecką: na pierwszej stronicy sprawozdanie z ciekawego procesu w Gąbinie. Podczas ćwiczeń wojskowych w maneżu padł przez uchylone drzwi strzał, który zabił kapitana. Na ławie oskarżonych siedzą dwaj podoficerowie, podejrzani o tę zbrodnię. W toku badania okazuje się, że jeden z nich, uciekając z aresztu, odciął i porzucił metalowe guziki munduru, ażeby go uczynić ubraniem cywilnem. Usłyszawszy o tem prokurator, odzywa się uroczyście: „Pierwotne śledztwo nie ujawniło tego przestępstwa, teraz więc dopiero mogę je wprowadzić do aktu oskarżenia i żądać dodatkowej kary na mocy paragrafu... za uszkodzenie rzeczy rządowych." Przed tym człowiekiem nawet cień śmierci, grożącej podsądnemu, nie zasłonił sześciu guzików. Co to za dusza? Normalna.

W innej gazecie znajduję gwałtowny artykuł przeciw matkom pewnej wsi poznańskiej, które chciały wyzwolić z kozy swe dzieci, zamknięte za opór w odmawianiu modlitwy po niemiecku, obok zaś opis walki dwu stowarzyszeń. Jedno z nich wzięło sobie za cel ochronę ptaków w lasach i ogrodach, drugie zaś — ochronę kotów, które niszczą te ptaki. Zanim między tymi związkami wybuchła wojna, starano się na zebraniach i w dziennikach rozwiązać kwestyę zasadniczo: czy kot jest zwierzęciem szkodliwem, czy też pożytecznem. Zdania były podzielone, wróg myszy jednak miał wielu przyjaciół w ludziach. I znowu pytanie może: co to za ludzie, którzy nie pozwalają dzieciom modlić się w ich ojczystym języku i niemiłosiernie tępią obcą narodowość, a jednocześnie zakładają towarzystwo opieki nad kotami? Zwyczajni, dzisiejsi ludzie.

W wymianie i starciu sprzecznych zdań tegoczesnej opinii publicznej zachodzi jedno wielkie nieporozumienie. Przeciwnikom zdaje się, że oni nie mogą wzajemnie przekonać się skutkiem niepojętności i nieuznania przytaczanych argumentów. Obrońcy ofiar głodu, malaryi lub polityki mniemają, że okrutni sprawcy lub obojętni świadkowie cudzej niedoli uważają głód, choroby i prześladowania za wypadki logicznie uzasadnione. Tymczasem tu ujawnia się coś zupełnie innego: nie odmienność przekonań, ale uczuć. Dzięki rozmaitym wpływom życia, a głównie wychowaniu, normalna dusza człowieka ucywilizowanego ma naciągnięte w sobie tylko pewne struny, które przytem wydają silny dźwięk po dotknięciu jednych pobudek, a słaby lub nikły po dotknięciu drugich. Nieraz nawet zdarza się, że właśnie to, co ktoś z nas poczytuje za wicher zdolny wyrwać drzewa z korzeniami, dla ogółu jest lekkim wiaterkiem, zaledwie poruszającym liście. Podczas gdy ktoś sądzi, że jakaś sprawa wywoła rozdzierający niebo krzyk zgrozy, słyszy zaledwie powierzchowne westchnienia. Wtedy złorzeczy kamiennym sercom i miota w nie pioruny klątew. Niesłusznie. Jest to gniew na wodę, że nie pozwala odlać z siebie posągu. Zastanówmy się, czego my chcemy? Chcemy, ażeby istoty, które od najwcześniejszego dzieciństwa kształcono teoryą i przykładem, że należy ciągle pamiętać *o sobie*, pokrzepiać *swoje* siły, zabiegać o *swoją* karyerę, cenić i kochać *swoich* współbraci, istoty, które w historyi uczono tylko podziwu dla „zwycięztw," w etnografii — pogardy dla innych, zwłaszcza „niższych" ludów, w socyologii — zbytku, ażeby nagle te istoty rozrzewniały się jakąkolwiek niedolą odległych narodów. Jest to takiem samem niepodobieństwem, jak gdyby ktoś dziś Józefem Poniatowskim usiłował zaćmić dżokieja Sloana. Ludzie są również instrumentami, które mogą wydawać tylko takie tony, do jakich są utworzone i nastrojone. Pies odwraca się ze wstrętem od dymu cygara hawańskiego, a z rozkoszą zanurza nos w padlinę; wół nie zje ananasa, ale zje brukiew; wróbel woli na gniazdo garść słomy, niż płatek aksamitu. I ludzie są oddzieleni przepaściami różnic, a czego ich nie nauczyło wychowanie, tego niech od nich nie wymaga, bo nie otrzyma, morał. W świadomych i bezwiednych pragnieniach najszlachetniejszego gatunku umysłów ujawnia się coraz wyraźniej żądanie, ażeby dusze ogółu uwrażliwiły się na pewne uczucia, ażeby do nich znalazły łatwy dostęp pewne wzruszenia, ale jest to tylko sen nadziei, zawieszonej na brzasku przyszłości. Dziś ludzie muszą obojętnie przypatrywać się zagładzie Burów i pomorom głodowym, tarzać się w pyle życia, nie patrząc na jego gwiazdy. A jeżeli komuś potrzeba otuchy dla wytrwania, niech się pociesza bodaj tem, że zapewne kiedyś będzie inaczej, a przedewszystkiem lepiej. W każdym razie nie kolmy się zbytecznie cierniami przyszłości. Kto do grobu dowiezie taczkę smutków współczesnych, zmęczy się dostatecznie.

Poseł Prawdy.

— Albo nie, nie, ja sama... już nie potrzeba.

Antek zbladł, ale rzekł zwolna:

Spiesz się, moja droga, bo *periculum in mora*...

Patrzył jej w oczy zjadliwie.

Mila odpowiedziała:

— Tak, byłoby w istocie *periculum*...

— Widzisz, jakaś ty głupia, no powiedz tylko, bo nie chcę gorzej cię nazwać...

— Przepraszam cię, Antku, ale to... no, wogóle przepraszam i koniec...

Antek patrzył na nią zdziwiony. Ona go przeprasza? Przecież on doskonale odczuwał, że ją zirytował śmiechem z powodu łaciny. Więc nawet jej złość ma pewne granice i niczem nie przypomina grymasów, chociaż chwilami wybucha? Czyżby u dyabła Mila była dzielną kobietą, czyżby on miał psi obowiązek ukorzyć się przed tą pensyonarką z medalem? Potem swym sprytnym umysłem zapytał siebie, czy nie byłoby szczytniej dla niego hołdować Mili, niż dokuczać, czy nie czas poznać się na niej i manifestacyjnie swoje uznanie wypowiedzieć?... Mimowoli pracował teraz myślą nad tem, coby się dało uratować z tego pogromu, z czemby mu było najwięcej do twarzy?

— Ona, myślał, nie potrzebuje moich pochwał, bo ile razy jej się hołdów zachce, to sobie taką babę sprowadzi, albo sama do niej pójdzie. A jednak ciągle jej na mojem zdaniu zależy... ambitna...

Coś pchało Antka do siostry.

— Dlaczego my się ustawicznie kłócimy?—szepnął.

Mila odeszła ku matce i milczała.

Antek przemógł się i powtórzył:

— Pytam, dlaczego my się kłócimy?

— To ja o to pytam—odparła.

— Ja pytam, ty pytasz, któż nam na to odpowie?

— Ja wam odpowiem — rzekł ślepiec: A mnie się zdaje, oczywiście (roześmiał się), że wy się w ten sposób kochacie, chociaż ty, Antku, czasem tak coś powiesz, że aż mnie zaklnje... Antek szedł zwolna do siostry. Mila wiedziała, że się coś dobrego stanie, że coś się zmieni w jej życiu, a co za tem idzie, i w życiu całej rodziny, przedewszystkiem jednak czuła, że dzisiaj spotka ją niesłychany hołd od mężczyzny, którego skrycie za zdolności i dar krytyczny uwielbia.

Dostała dziwnego drżenia i przytuliła się do matki, która otoczyła ją ramieniem.

Milu?—szepnął naprawdę rozczulony Antek.

— Daj mi pokój — mruknęła dziewczyna, pewna zwycięztwa...

— Niechże ją mama puści nareszcie...

— Nie puszczę — odparła przekornie matka i zaczęła Milę kołysać w objęciach.

— Mila śpi — szepnęła, uśmiechając się przez łzy.

Lecz dziewczyna z obawy, żeby Antek nie stracił cierpliwości, sama zwolniła się z objęć matczynych i raptem zarzuciła mu ręce na szyję.

— Przepraszam, przepraszam! — łkała.

W pierwszej chwili Antek nie wiedział, co z nią robić. Objął siostrę i dopiero, poczuwszy jej bijące serce, zrozumiał położenie.

— Mój kochany pedagog — mówił, umyślnie dobierając wyrazy,—mój pracownik, moja mądrala, moja Mila, mój kochany chłopak, chciałem rzec, kochana dziewczyna...

Oboje wybuchnęli śmiechem, a ślepiec zawołał:

— Antek, powiedz, już ty wiesz, co...

Chłopak krzyknął, klęknąwszy przed rozpromienioną Milą.

— Oczywiście!

Tadeusz Ulanowski.



BADANIA NAUKOWE.

EKONOMIA SPOŁECZNA.

(Dokończenie).

Istotnie niema dziś jednolitego gospodarstwa społeczeństw, regulowanego na wzór prywatnych gospodarstw gminy czy państwa przez centralną jedną wolę prywatnego, że tak powiem, gospodarstwa społeczeństw. Niemniej wszakże przeto istnieje dziś, jak i w wiekach średnich, i w starożytności, i we wszelkim wogóle czasie, znanym nam historycznie, organizacya gospodarcza społeczeństw, stanowiąca system stałych form wzajemnych stosunków jednostek i grup ludzkich, a w której ramach dopiero się rozwija życie prywatno-gospodarcze jednostek czy korporacyj. Stałemi takiemi formami wzajemnych stosunków gospodarczych wśród członków społeczeństwa są przedewszystkiem nasze oceny dóbr, streszczające się w pojęciach wartości, kapitału, procentu, renty itd. Dalej idą formy stosunków, wypływające z krzyżowania się i wyrównywania różnorodnych konkretnych dóbr przez różnorodne grupy i jednostki gospodarcze formy stosunków, towarzyszących, współdziałaniu sił heterogenicznych, a które się ujawniają w cenie, płacy zarobkowej, dochodzie itd.—formy więc stosunków koordynacyi. Wreszcie formy stosunków podporządkowania jednych grup drugim, lub wszystkich jednostek centralnej woli społeczeństwa, będące treścią takich urządzeń narodowo-gospodarczych, jak własność, moneta, cechy itd.

Może być organizacya społeczna, gwarantująca o wiele lepiej interesy i potrzeby całokształtu kultury narodowej, niż nasza obecna, mogą istnieć i istniały już formy o wiele ściślejszego współdziałania, niż dzisiejsze—pracy najemnej, względnie płacy roboczej i rynku względnie konkurencyi. Lecz jeśli i płaca zarobna i konkurencya są nader dalekie od ideału sprawiedliwości i rozsądku, to przecież jednak płaca zarobna jest pewną formą podziału bogactw, a konkurencya pewną formą współdziałania, współdążenia do ogólnego jednego celu. Toć współzawodnictwa bez współdążenia być nie może.

Obszerna dziedzina tych *społecznych* stosunków gospodarczych — oto przedmiot badań społeczno-gospodarczych. Dla p. K. wszakże nie istnieją one, bo obchodzą go tylko „czynności“ i ich „pobudki.“ Że zaś dziś społeczeństwo *de facto* swego prywatnego gospodarstwa nie prowadzi, że prywatne gospodarstwa są dziś wyłącznie niemal indywidualne i tylko się troszczą o swoje interesy indywidualne (co bynajmniej nie przeczy temu, że działalność ich odbywa się zawsze w ramach, zakreślonych przez stosunki społeczno-gospodarcze), więc też p. K. właściwą teoretyczną ekonomię sprowadza jedynie do rozbioru „bodźców, działających w sferze prywatno-gospodarczej“[1]). Lecz przecież uznaje on konieczność „społecznego“ punktu widzenia w badaniach ekonomicznych. I w rzeczy samej stara się utrzymać na tym punkcie widzenia. To też, rozbierając bodźce działalności prywatno-gospodarczej, zwraca szczególną uwagę na specyficzną ich formę, pod jaką występują one we wzajemnych stosunkach prywatnych gospodarstw i dochodzi do wniosku: „Cały system działania odbywa się tu na podstawie prawa podaży i popytu, jako wszechregulatora tych stosunków“[1]). Jaknajzupełniej słusznie! Gdy jednak p. K. sądzi, że odkrył tu nieznaną dotychczas nową prawdę — jest w wielkim błędzie. Wszyscy o tem zawsze dobrze wiedzieli, że dziś stosunek wzajemny gospodarstw prywatnych opiera się jedynie na konkurencyi, na prawie podaży i popytu. Lecz jednocześnie wszyscy dobrze czuli, że to jeszcze nie cała treść stosunków społeczno-gospodarczych, że są pewne zewnętrzne reguły objektyne (z punktu widzenia subjektu gospodarczego), w których zakresie kształtuje się wzajemny konkurencyjny stosunek gospodarstw prywatnych. P. K. więc o tyle zajął nowe stanowisko, że — przyznaję, z chwalebną konsekwencyą odnośnie do swego założenia — zbagatelizował całą teoretyczną naukę ekonomiczną, jak nikt przed nim. We wszystkich zasadniczych pojęciach narodowo-gospodarczych wartości kapitału, dochodu, renty, we wszystkich zjawiskach, jak wymiana, kredyt, zysk przedsiębiorcy, płaca zarobkowa, we wszystkich instytucyach, jak rynek, moneta itd., widzi on to tylko, że gospodarstwa prywatne w swoich stosunkach wzajemnych rządzą się prawem podaży i popytu. Takie zapatrzenie się wyłącznie w konkurencyę już się dawniej zdarzało, mianowicie epigonom manchesteryzmu P. K. stoi od nich wyżej w tym względzie, że nie stara się przyczynowo wytłomaczyć tych wszystkich zjawisk, jako różnych tylko form przejawowych konkurencyi. Cały następny rozwój nauki ekonomicznej nauczył go, iż tłomaczenie takie jest niemożliwe do osiągnięcia. Lecz w zamian stoi on od nich o tyle niżej, że nie podaje żadnego przyczynowego tłomaczenia tych zjawisk, chociaż nie przeczy możności przyczynowego poznania życia narodowo-gospodarczego. Wynika stąd dziwna jałowość wszystkich rozumowań p. K. zarówno co do poszczególnych zjawisk ekonomicznych, jak i ich całokształtu.

Tak np. w rozdziale o wartości p. K. zaczyna niby to jej analizę od określenia gospodarczości, jako „części porządku ludzkiego w zakresie podtrzymywania i rozwijania bytu, która za pomocą czynnego przystosowania zdolności naszego ducha do świata zewnętrznego pozwala jednostce na jej bezpośrednie, osobiste potrzeby obracać pewien zakres zasobów i sił przyrody“[2]) (nawiasem mówiąc, prędzej by już to określenie mogło się stosować do instytucyi własności, niż do całokształtu stosunków narodowo-gospodarczych). Następnie autor, zapominając, że „część porządku“ nie może być „procesem“ i odwrotnie, z przesłanki tej wnioskuje, iż skoro za pomocą gospodarczości, jako całego procesu zadawalania potrzeb naszych zdobywamy dobra, które są materyałem, zaspakajającym te potrzeby, to... między ludźmi, czyli przedmiotami gospodarczymi, a dobrami, czyli podmiotami gospodarczymi, musi być ten czy inny wyraz reguł gospodarczości“[3]). Co prawda, nie widzę logicznej konieczności tego wniosku, boć przecież mogą istnieć stosunki, niedające się ująć w żadną regułę, lecz przypuśćmy, że tak jest naprawdę. Natomiast całkiem już niewiadomo, skąd się bierze dalszy wniosek: „Otóż miara tego stosunku, tworząca podwalinę reguł ekonomicznych, wyraża się w wartości dóbr. Dlatego wartość jest wskaźnikiem ekwiwalentu ludzkiej potrzeby, zawartego w dobrach gospodarczych“[4]). Toć, żeby taki wniosek wyprowadzić, należałoby naprzód nam wykazać, że potrzeby nasze mają jakiś „ekwiwalent“ i czem jest ten „ekwiwalent“ i co za moment naszego pojęcia dóbr jest tym „ekwiwalentem,“ dalej, że nasz stosunek do dóbr jest stosunkiem ilościowym, gdy mierzyć się daje, wreszcie, że ten stosunek ilościowy, a ów „ekwiwalent“ to jedno i to samo. P. K. tego nie zrobił, a powinien był tem bardziej, że wypowiada całkiem nowe, niezrozumiałe twierdzenia. Dotychczas bowiem sądziliśmy wszyscy, że wartość — to ocena nasza dóbr ze względu na nasze (indywidualne, czy społeczne) potrzeby. I do czegóż go to całe tak ryzykowne rozumowanie prowadzi?“[1]). Lecz na tem się jeszcze rzecz nie kończy. P. K. ciągnie dalej: „Z tego stanowiska rozważana wartość będzie atrybutem wszystkiego, czem człowiek potrzeby swe zadawala. Obejmuje ona zarazem i pojęcie wartości wymiennej. Stosunek użyteczności społecznej jest granicą użytecznego pożytku dóbr. Użyteczność jest cechą każdego przedmiotu, który zaspakaja naszą potrzebę; wartość wymienna jest taką cechą kompensujących się użyteczności naszych przedmiotów, która pozwala czynić z nich przedmioty wymiany t. j. towary, a zatem narzędzia handlu“[2]).—Doprawdy nic z tego nie rozumiem. Co znaczy: „stosunek użyteczności społecznej“? Przecież stosunek musi być czegoś do czegoś. Z czemże więc tu wchodzi w stosunek „użyteczność społeczna,“ która, zresztą niewiadomo skąd się tu wzięła, bo dotychczas mówił p. K. jedynie o potrzebach jednostek. Co znaczy dalej: „granica użytecznego pożytku“? Czyż może być pożytek nieużyteczny? Co znaczy to „więc“ w tautologii: „użyteczność jest cechą — każdego przedmiotu zaspakajającego naszą potrzebę“? Wreszcie, cóż to są za „kompensujące się użyteczności,“ które jednak mają cechę, pozwalającą im stać się przedmiotami wymiany, a więc istniejącą *przed* wymianą, gdy kompensata przecież *dopiero w trakcie* wymiany nastąpić może? I kiedyż te towary stały się „narzędziami“ z przedmiotów handlu. Co dziwniejsza jednak, p. K. stawia te określenia tak nowe, że aż zgoła niezrozumiałe po to tylko, by wypowiedzieć następnie, że są dobra mające wartość wymienną i niemające jej, że jednak te pierwsze są znacznie liczniejsze, że gdyby wszystkie dobra gospodarcze były zarówno dla wszystkich, to wartość miałaby tylko znaczenie użyteczności i wtedy obojętne byłoby: jakie są granice tej użyteczności w danej chwili „[3]) i koniec końców, stawia tezę, „że wartość wymienna, t. j. stosunek między podmiotem gospodarczym a dobrami, stosunek regulowany za pomocą działania podaży i popytu, tworzy podstawowe prawo gospodarczości w naszym ustroju“[4]). Stara, pogrzebana od dawna teza manchesterska, nic nam zgoła nie mówiąca ani o istocie wartości, ani o jej mierze. Że teza taka mogła zadawalać epigonów klasycznych, którym chodziło raczej o apologię wolnej konkurencyi, niż o poznanie przyczynowe życia narodowo-gospodarczego, to zrozumiałe. O ile wszakże stawia ją dziś teoretyk, jako ostatni wynik swych dociekań nad wartością — to jest z jego strony tylko przyznaniem się, iż zagadnienia wartości rozwiązać on nie może. Boć przecież jasnem jest, że zaofiarowanie ani zapotrzebowanie nie polega na chęci wyzbycia się lub posiadania *pure et simple* pewnej ilości dóbr, jeno wymienienia swych towarów, czy też nabycia cudzych za pewną cenę. Ocena dóbr poprzedza więc zaofiarowanie i zapotrzebowanie ich na rynku, poprzedza wymianę ich wogóle. Wymiana możliwa jest raczej dlatego tylko właśnie, iż istnieje objektywna ocena dóbr gospodarskich, objektywna w świadomości pojedyńczych członków społeczeństw, z których każdy *à priori* jest przekonanym, że ocena jego jest identyczną z oceną wszystkich innych.

P. K. zamiast więc wyjaśnić, czem jest wartość, wypowiedział co do niej pewien

[1]) Str. 153.

[1]) Str. 153. [2]) Str. 25. [3]) Str. 26. [4]) Tamże.

[1]) Str. 27. [2]) Tamże. [2]) Str. 28. [4]) Str. 29.

szereg luźnych uwag, mniej lub więcej ryzykownych i zaznaczył wreszcie fakt, sam przez się słuszny, lecz bynajmniej dla kwestyi wartości nie zasadniczy, że wartość wymienna (powiedziałbym raczej cena) podlega wpływowi podaży i popytu. Tak samo postępuje on i z kwestyą kapitału, pieniędzy, rynku, kredytu, zysku, renty gruntowej itd. Żadnego z tych zjawisk nie wyjaśnia nam, żadnego nawet dokładniej nie opisuje, lecz tylko stara się wykazać, że każde z nich podlega wpływowi podaży i popytu, o czem zresztą wszyscy doskonale wiedzą, boć nikt nie wątpi, że dziś żyjemy pod znakiem konkurencyi handlowej.

Jest to zupełna rezygnacya z teoretycznej wiedzy ekonomicznej, z przyczynowego poznania zjawisk narodowo-gospodarczych. Nic w tem zresztą dziwnego. Boć p. K. na początku oświadczył, że dziś istnieją tylko gospodarstwa prywatne. Lecz na cóż było w takim razie zarzucać szkole historycznej, że nie daje nam ona syntezy teoretycznej? Toć p. K. wiernie w jej ślady idzie, widząc w zjawiskach społeczno-gospodarczych przejawy *działalności* ekonomicznej ludzi i zgodnie z tem negując istnienie dziś praw narodowo-gospodarczych po za ustanowionemi przez świadomą reglamentacyę stosunków narodowo-gospodarczych ze strony ogółu społeczeństwa. Jeno, że gdy szkoła historyczna wyrzekła się przyczynowego poznania, konsekwentnie z tem zarzuca też i dedukcyjne systematy a biorąc się do wszechstronnej i usilnej pracy opisowej, p. K. sili się stworzyć systemat dedukcyjny, biorąc negacyę swą za wniosek pozytywny teoretyczny.

Ta tragiczna dla autora sprzeczność między osiągniętymi przezeń rezultatami, a tem co osiągnąć zamierza i co już osiągnął, stanowi charakterystyczną cechę całej pracy p. K. Zrezygnował on z przyczynowego poznania zjawisk ekonomicznych, a przekonanym jest, że je osiągnął, że rezygnacya ta jest właśnie takiem ich poznaniem. Rozerwał on całą naukę ekonomiczną na dwie części, niemające z sobą nic wspólnego: „rozbiór bodźców, działających w sferze prywatno-gospodarczej" i „rozbiór sprężyn społecznych tudzież moralnych" — regulujących świadomą politykę naszą ekonomiczną — [1]) a sądzi jednocześnie, że stworzył syntezę, której próżno po dziś dzień ekonomiści szukali. Kawałkuje duszę gospodarczego człowieka na egoizm, wyłącznie rządzący w jego życiu prywatno-gospodarczem, i „pierwiastek etyczno-społeczny," który stanowi „korektywę egoizmu" w jego życiu społeczno-gospodarczem, [2]) sądząc, że właśnie w ten sposób znosi on dualizm interesu indywidualnego i społecznego, tak bardzo trapiący szkołę historyczną w Niemczech.

Wszyttkie zaś te sprzeczności wynikły z tej, że p. K. uznał za potrzebne dać naszej literaturze szkic „nowego" systemu, którego nam jakoby brak, gdy popierwsze brak nam przedewszystkiem poszczególnych badań teoretycznych i sumiennych wogóle prac naukowych, zamiast prób budowania *koniecznie nowych* systemów często na paru stroniczkach dziennikarskiego artykułu: a powtóre — gdy możliwym jest szkic czy streszczenie tylko skończonych już systematów, lecz „szkic nowego systemu," to metodologiczne *contradictio in adjecto*. Zresztą sprawiedliwość wymaga zaznaczenia, iż p. K. kończąc swą książkę, widocznie opatrzył się co do tego ostatniego, zwie on tam już bowiem pracę swą nie „systematycznym wykładem nauki ekonomii," lecz „próbą nawiązania problematu metody ekonomicznej." Lecz jeżeli za taką ją uznamy — to szkoda, że prócz pierwszego i ostatniego rozdziału, w reszcie książki p. K. kwestyami metody wcale się nie zajmuje.

Dr. Stanisław Grabski.

[1]) Str. 34. [2]) Str. 159.



LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Cezary Jellenta: *Dante Alighieri*. Życiorys. Warszawa. Bronisław Natanson. 1900.

II.

Z jaką skwapliwością autor zstępuje w szranki turniejowe, pouczyć nas może następujący przykład. Przed pół wiekiem jeszcze badacz niemiecki, Witte, dojrzał w pismach Danta słynną „Trylogię" rozwoju ideału poetyckiego i myślicielskiego, zaznaczonego dziełami: „Nowe życie," „Uczta," „Komedya." W pierwszym z nich ukazuje się nam młodzieniec, pełen naiwnej wiary, żadnemi zwątpieniami nie zmąconej. Po śmierci poeta oddał się przewodnictwu filozofii i rzucił się w wir walk politycznych, lecz na tej drodze spotkało go ponowne rozbicie ducha. Przejście to uwydatnia się w „Uczcie." Wreszcie następuje powrót do słodkiej wiary i miłości; poeta na szczycie wiedzy i dociekań stawia teologię. *Boska komedya* miała właśnie obejmować dzieje tego przewrotu i być świadectwem ukorzenia się wieszcza. Autor „Życiorysu" zgadza się poniekąd na takie stopniowanie w rozwoju ducha poety i na to, że „Komedya" była wyrazem przełomu wewnętrznego na tej ogólnej zasadzie, że „już samo poczęcie arcydzieła znamionuje punkt zwrotny w życiu *każdego* twórcy." Dante — sędzia ludzkości, już nie mógł być tym młodzieńcem, który układał sirwenty na cześć piękności florenckich. Ale tylko tyle. Bo zresztą D. nigdy nie upatrywał żadnego niebezpieczeństwa w filozofii i nie przeciwstawił jej religii, a do ostatnich kart *Komedyi* jest zbyt gwałtownym w uczuciach, zbyt rozkochanym w scholastyce, by można było uznać go za nawróconego, za pokutującego się do jakiejś winy w pomienionym właśnie względzie. Tezę więc odrzucono w zasadzie i w słowach najbardziej stanowczych. To samo czyni Klaczko. Zdawałoby się tedy, że do sporu żadnego powodu niema. P. Jell. jednak, nie chcąc utracić żadnej sposobności do skruszenia kopii, zwłaszcza z autorem *Wieczorów florenckich* w popularnym szkicu swoim, i to nie u spodu stronicy, lecz obszernie w tekście dowodzić zaczyna, że argumenty Klaczki nie są mocne. Zapewne, nie wszystkie obronić się dadzą, lecz pocóż nam rozbiór czyjegoś mniemania o mniemaniu trzeciej jeszcze osoby? Zachęceni atoli przykładem, dodajmy jeszcze jedno ogniwo do łańcucha: Dante, Witte, Klaczko, Jellenta. Autor *Wieczorów* tak rozumuje: *Komedya* wiąże się z rokiem 1300, *Biesiada* zaś, mająca być wyrazem drugiego okresu w rozwoju wieszcza, pośrednim członkiem w „trylogii," powstała około r. 1308—9. Niemożliwą jest tedy rzeczą, by poeta w *Uczcie* cofnął się do stanowiska już przekroczonego: w *Komedyi* piętnuje niebezpieczeństwo filozofii, w *Convito* zaś wysławia ją, jako jedyną przewodniczkę życia. Słuszną jest uwaga Jellenty, że dowód ten przeciw Wittemu upada sam przez się, gdyż *Biesiada* o 5—6 lat poprzedziła *Komedyę*. Jest przecież tu i *ale*. Dzieła Wittego nie znam, z własnego jednak wykładu p. Jellenty możnaby przyjść do wniosku, że wina Klaczki nie jest znowu tak wielką, gdyż schodzi on na stanowisko krytykowanego autora. „Przejściom do trzeciego, najwyższego okresu będzie przewrót dawnej wiary i miłości, powrót zarówno do Boga, jak do Beatryczy. *Ważna chwila przyspieszyła ten przełom, wielkie święto jubileuszowe* z powodu upływu 1300 lat od chwili, kiedy Chrystus zbawił świat męczeństwem. W duszy wieszcza *zbudziło się nanowo* dawne namaszczenie" itd. Więc to on jest cokolwiek w niezgodzie z chronologią? I znowu nie rozumiemy, skąd w p. Jell. zaciętość polemiczna. Chyba że chodzi tu o autora *Wieczorów*. Przyznał mu wprawdzie szerokość poglądów, wysoki talent pisarski, znakomite poczucie piękna, zdolność wrażliwego wczytywania się w poezyę, odczucie Danta o wiele żywsze i naturalniejsze od *większości* poprzedników, a mimo to jakby znajdował w potrącaniu go szczególną przyjemność. Klaczko posiada niebywały dar zwyciężania *urojonych* przeciwników, pragnie zbierać *łatwe* laury, po gospodarsku zachowuje się z faktami, w przypuszczeniach swych jest bezkrytyczny i prozaiczny, wypacza w sposób elegancki prawdę, przyswaja sobie nieznacznie cudze poglądy itd. Zarzuty dość poważne. Zapewne Klaczko nie zawsze ma słuszność. Jego pomysł „tragedyi Danta," wieńczący budowlę *Wieczorów*, jest efektowną bańką mydlaną. Zdarzają mu się poprostu bąki, kiedy np. osadza Ulissesa w piekle za zbytnią badawczość (przewrócenie słupów Herkulesa), gdy tymczasem odpowiednie ustępy Danta nie zawierają ani cienia tej myśli. O nieomylności więc niema mowy. Czy jednak wypatrywanie podobnych błędów przyczyni się do uwypuklenia postaci Danta?

Kiedy po tylu *nie jest* autor przechodzi do własnej syntezy, nie ma możności już rozwinąć swego poglądu; w czytelniku rodzą się różne wątpliwości; w uogólnieniu czuje coś doryweczego i — pozostaje przy dawnem swem rozumieniu. Posłuchajmy np. wywodu co do dźwigni wewnętrznej w *Komedyi*. Głębokie poczucie idealizmu, tkwiące zawsze na dnie duszy wieszcza, mogło być sponiewierane przez materyalizm życiowy, przez nadmierną skłonność do rozkoszy i szczęścia, a stąd „zrodziła się potrzeba oczyszczenia, rehabilitacyi wewnętrznej, tęsknota za lotem górnym i świetlistym." „To jest *jedyny*, zdaniem mojem, jako tako wierny obraz pobudki, która zrodziła *Komedyę*." I nawet żeby tego nie widzieć, „trzeba chyba umyślnie zamykać oczy. I to ma być nerw zasadniczy *Boskiej komedyi*? Z nieufnością spoglądamy na taki wynik dociekań, i wolimy pozostać przy starym błędzie, jeśli to jest błąd, wolimy powtarzać za Klaczką, że *Komedya* to „grzmiące, Izajaszowe napomnienie, wymierzone do pokoleń współczesnych, do tego pokolenia, które patrzyło na wielki jubileusz 1300 r." Czujemy jednostronność tego twierdzenia. Nie jest prawdą, że „teraźniejszość, obecność, świat w pierwszej chwili XIV wieku, oto przedmiot, oto *jedyny* cel poematu wielkiego Florentczyka," gdyż w poemacie istnieje jednocześnie kosmogonia, etyka i polityka, gdyż w dziele swem poeta wyobrażenia swe przekazał na prawa, królujące we wszechświecie. Ale że nie była to chłodna spekulacya myśliciela, że z krwawiącej serce rzeczywistości wyrosły rodzajne ziarna poematu i wierzeń twórcy, więc też „grzmiące upomnienie" nadewszystko w dziele się uwydatnia. P. Jellenta zaś, rozkawałkowawszy swój przedmiot, oddzieliwszy wykład wyobrażeń monarchicznych Danta od komentarza do *Komedyi*, uczynił z niej dzieło niemal wyłącznie egotyczne. Dodajmy, że na uzasadnienie swego wniosku (w którym idzie podobno za Krausem) poświęca pięć stronic, gdy sama polemika *contra* Witte i *pro* Witte *contra* Klaczko zabiera mu ośm, a wyrobimy sobie pojęcie o perspektywie zachowywanej przez autora.

Zastanówmy się obecnie nad stosunkiem Danta do przyszłości, widzianej z r. 1300. Potrącamy tu o dość dziwny pomysł Klaczki. Rozpoczynając swe *Causeries*, każe on jednej z wprowadzonych przez siebie osób zapytywać: kto mi wytłomaczy *tragedyę Danta!* Dlaczego na każde wspomnienie tego imienia budzi się w nas myśl o jakiejś boleści bez miary i granic, o jakiemś przeznaczeniu tak samotnem, jak gdyby fatum wycisnęło na niem swe piętno? Cała książka ma być rozwiązaniem zagadki, która polega na głębokiej sprzeczności między ideałami poety, a nurtującemi już społeczeństwo europejskie nowemi siłami. W nim samym nawet istniał tragiczny rozłam. Całą wiarą swą, całą mocą przekonań przeszłości się trzymał, lecz działaniem swem i życiem rozpętywał właśnie duchy, które zażegnać pragnął. Marzył o państwie wszechświatowem, o jedynym pasterzu i jedynej owczarni w dobie budzących się prądów narodowych i sam przecież pracuje nad wykształceniem języka narodowego; najszlachetniejszy wyraziciel średnich wieków otwiera pochód literatury nowożytnej przez połączenie świata klasycznego z chrześciańskim; występuje w charakterze sędzi i proroka, podkopując jednocześnie zasadę powagi itd. I to jest „tragedya Danta." Wszyscy ją czują i widzą, a przecież trzeba było całego aparatu uczoności, by ją wykryć! Dla nas z sześciowiekowego oddalenia rozbieżność między różnemi stronami działalności poety jest widoczna. Czyż i dla niego samego? Czyż nie wstąpił do grobu z wiarą w urzeczywistnienie swych marzeń? Czyż doznał rozterki we własnym duchu? Gdzież więc „tragedya"?

Było rzeczą do przewidzenia, że p. Jell. na ten pomysł zgody swej nie da; lecz cóż, kiedy własny jego sąd wygląda zawsze jak odruch polemiczny, jak usiłowanie powiedzenia czegoś koniecznie na wspak. Więc według niego D. nie jest zgoła utopistą przeszłości, gdyż *w duchu i kierunku jego ideałów ludzkość się rozwija*; był on rzecznikiem idei „pokoju, wolności, sprawiedliwości." Można czynić różne przypuszczenia co do tego, jakby się zachował D., zmartwychwstawszy, wobec różnych zjawisk doby dzisiejszej; teoretyczne atoli ideały jego znalazły bardzo ścisły i konkretny wyraz, i tak sformułowane, stanowiły jego wiarę. Niemałem ustępstwem dla obcego monarchy chciał okupić wolność Włoch od poćwiertowania przez własnych tyranów, jak zapewnia autor (za Wegelem), lecz wyobrażał sobie szczęście powszechne w postaci państwa wszechświatowego, podobnie jak uznawał możność zbawienia (mimo pewne wątpliwości, które go ustawicznie trapiły) tylko w łonie kościoła katolickiego. Istotny bieg rzeczy zadał kłam tej wierze. Czy wolno tedy odrzucać konkretną zawartość tego *Credo* i mówić, że „to tylko *forma* idei dantejskiej"?—i utrzymywać, że „w duchu i kierunku tych ideałów ludzkość postępuje"? Nawet w szczegółach zauważyć się daje to jakby przekorne usiłowanie odwrócenia słów Klaczki. Na przebój walcząc z jego „tragedyą," nie uznaje nawet tej osobistej, wynikającej z zatargu z miastem rodzinnem, nie wiadomo skąd przychodzi do wniosku, iż na ostatnie lata przypada w życiu poety okres „względnego spokoju"; wie nawet, że wybuchów nienawiści ze strony współobywateli (wyrok śmierci zastosowany do synów) „tak bardzo do serca nie brał." A toż znowu skąd?

W ostatnim rozdziale, zatytułowanym „apoteoza," autor zapuszcza się w rozważanie następnych wątpliwości: O Dantem mówi się zwykle z pochyloną głową. Czy ... jest cześć dla szacownej relikwii? Czy wpływ bezpośredniego oddziaływania jego dzieł? Czy naprawdę zbliżamy się ku niemu, przyciągani magnetyczną siłą piękna? ... tym względzie p. Jell. rzuca kilka szczerych i słusznych uwag. „Wyznać można bez najmniejszej ujmy dla religii sztuki, że niezupełnie i niełatwo dostroić się doń może smak człowieka współczesnego." I dalej: „Żadne dzieło sztuki nie sprawia prawdziwej, żywiołowej rozkoszy, jeśli go nie możemy chłonąć wzruszeniem, brać bezpośredniem uczuciem." A tymczasem do Danta można przystępować tylko w zbroi erudycyi. Oprócz niezrozumiałości motywów i obrazów szkodzi wrażeniu nadzwyczajna ich tłumność i urywkowość. Jest w tem „jakieś niesłuszne równouprawnienie estetyczne." Wszystko zarówno wysunięto na pierwszy plan i wszystko zarówno zaledwie miga nam przed oczami. Stąd wniosek: „pojedyńczym a tak niezliczonym ogniwom *Komedyi* składać można hołd dość zimny; lecz szczery podziw budzić musi olbrzymia skala kompozycyi..."

Zdaje mi się, że autor pominął wzgląd, który dla współczesnego czytelnika posiada wagę niezmierną. Ze wszystkich pism Danta powszechnie czytywaną bywa tylko jego *Komedya*, a w niej tylko *Piekło*. Otóż niektóre ustępy tej części dzieła, mimo urywkowości, plastyką i grozą swą oddziaływają nieraz potężnie, i te odosobnione właśnie ustępy zapładniały niejednokrotnie wyobraźnię artystów. Naogół jednak biorąc, rozkoszować się tem wprost niepodobna. Jakiejże bowiem rozkoszy może dostarczyć panorama katuszy (fizycznych przeważnie), rozwijająca się w nieskończoność? A widokom tym jesteśmy obcy; budzi się w nas nie samorzutny odruch oburzenia wobec zbrodniarza, lecz tylko współczucie. Inne było niewątpliwie stanowisko poety. Dla niego wszyscy ci spotykani w otchłani zdrajcy, szalbierze, oszuści itp. nie byli jak dla nas bezimienną gromadą więzienia karnego. On każdego nazwie po imieniu; o każdego się ocierał i nienawidził każdego, bo każdy z nich w mniejszym lub większym stopniu przyczynił się do upadku, do poniżenia wielkiej ojczyzny. Nie oschły świętoszek, wielki patryota tu nam się ukazuje. Na bramie prowadzącej do piekieł kładzie napis: „Wzniosła mię... mądrość najwyższa, *miłość* pierworodna." Tak, to jego miłość ojczyzny jej nieprzyjaciół i zdrajców w otchłań tę wtrąciła. Tylko wczuwając się w płomienną duszę wieszcza, możemy *do pewnego stopnia* pogodzić się z okrucieństwem jego. Jest to może niezbędniejsze, niż odczucie wielkości kompozycyi. Ale jakże to trudno! Z usilnością musimy się przedzierać przez gąszcz dat i nazwisk, które nic nam nie mówią; zbrodnie potępieńców zostały gdzieś tam na ziemi — tu tylko męczarnie. Pod tym względem nieliczne tylko istnieją wyjątki (Ugolino). Niektóre winy niezdolne już w zobojętniałym widzu współczesnym wzbudzić żywszego odruchu. A zresztą, czy podobna nawet obmyślić zbrodnię tak okropną, by słusznem za nią zadośćuczynieniem w *poczuciu naszem* była wieczność mąk, wieczność, w której miliony lat są pyłkiem niedojrzanym? Zachowanie się podróżników (Danta i Wirgiliusza) potęguje doznawane przez nas wrażenie przygnębienia, odrazy nawet. Drażni nas ich rezygnacya, a bolą poprostu ich twarde, nielitościwe słowa, nieszczęśliwym rzucane. Ba, zauważyć nawet można w nich rodzaj zadowolenia czy tryumfu, że sami do tej gromady nie należą. „Duchu przeklęty — mówi Dante jednemu ze spotkanych — zostawaj z swemi łzami i żałobą," a gdy wyciąga ręce ku łodzi, Wirgiliusz potrąca go wiosłem: „Idź pomiędzy inne psy!" — i natychmiast, zwracając się do poety, dodaje: „*O, alma sdegnosa!* o duszo wyniosła, gniewna! *benedetta co'ei che in te s'incinse.* Błogosławiona, która cię poczęła." I aluzya nie byle jaka. Zdarzyło się i tak, że Dante wyrywa jakiemuś potępieńcowi włosy kosmykami z głowy, aż ten z bólu wyje. O, tak, należy to wyznać o Dantem, że niezupełnie i niełatwo dostroić się doń może smak człowieka współczesnego."

Gdzieś p. Jell. uskarża się, że pewien krytyk karci go za coś „tonem profesora." Co do mnie, jeżeli gęsto opatrywałem jego wywody pytajnikami, daleką była ode mnie myśl przybierania owego tonu. W całej rozciągłości uświadamiam sobie, że piszący swój „Życiorys," miał on sposobność poznania literatury dantejskiej w zakresie bardzo szerokim, że nad wielu zagadnieniami zastanawiał się pewnie głęboko. Pozwolę sobie jeno zastosować do niego słowa, które sam wyrzekł o Scartazzinim, jednej z największych powag wśród badaczów Danta: „Piszący... te słowa, mimo całą cześć dla Scartazziniego, jako specyalnego i wyjątkowego znawcy przedmiotu, nie zawsze czuje się przezeń przekonany." Otóż i dla niżej podpisanego słowa autora nie zawsze posiadają moc przekonywającą. Sądzę też, iż w położeniu takiem znajduje się niejeden z czytelników jego.

A. Drogoszewski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Michał Bałucki: *Blagierzy*, komedya w 4 aktach. — Wznowienie *Zbójców* Schillera i *Otella* Shakespeare'a.

Od dziesięciu co najmniej lat krytycy nasi, pisząc o nowych sztukach teatralnych autora „Domu otwartego" (a co rok prawie daje on im do tego sposobność), zwracają tęskny wzrok w stronę jakiejś bliżej nieokreślonej przeszłości, kiedy z pod pióra Bałuckiego miały wychodzić jeżeli nie perły literatury dramatycznej w europejskiem tego słowa znaczeniu, to przynajmniej takie czysto-polskie, krakowsko-warszawskie, „sympatyczne" arcydziełka sceniczne, jakie u nas wśród krytyków i publiczności znajdują dotąd najwięcej może zwolenników. Ostatnie sztuki ulubionego przez mniej wybredno sfery komedyopisarza niezupełnie zadawalały naszych arystarchów, więc też, oceniając „Sprawę kobiet," „Niewolnice z Pipidówki," „Szwaczki," „Flirt" nawet (odznaczony na konkursie „Flirt"!), nie przestawano wzdychać do „Grubych ryb," „Pozłacanej młodzieży," „Klubu kawalerów" i wspomnianego już, a cieszącego się bodaj największą i najbardziej zasłużoną popularnością — „Domu otwartego."

Lecz zastanowiwszy się nieco nad całokształtem twórczości komedyopisarskiej Bałuckiego, trudno w niej dojrzeć naprawdę dwie jakieś odrębne fazy rozwoju. Bałucki z przed lat piętnastu i nawet dwudziestu pięciu — to w gruncie rzeczy ten sam, co dzisiaj, zręczny dosyć, lecz powierzchowny obserwator życia, malujący w sposób bardzo pierwotny, z karykaturalnem zacięciem w piórze, a dobrotliwym uśmiechem na ustach, różne słabostki, śmiesznostki lub nawet poważniejsze przywary ludzkie, lecz niewznoszący się nigdy na wyżyny istotnej satyry społecznej. Komedye Bałuckiego — to nie komedye właściwie, gdyż od tego rodzaju literackiego wymagamy, bądź co bądź, pewnego pogłębienia charakterów lub artystycznego rozwoju intrygi — to krotochwile tylko, naiwne, swojskie krotochwile, podbijające widza często dobrodusznością rodzimego humoru, wywołujące łatwy uśmiech na usta (nie dowcipem znów, lecz najczęściej konceptem tylko) — lub też pozostawiające go obojętnym, jeśli nie znudzonym nawet, gdy ten humor nie dopisze autorowi a koncepty się nie udadzą.

Z pewnemi, naturalnie, zastrzeżeniami nie zawahałbym się nazwać Bałuckiego — Kostrzewskim komedyi polskiej: jeden i drugi to nie malarze życia, lecz jego ka-

rykaturzysci; obrazy jednego, komedye drugiego były kiedyś bardzo popularne, lecz dziś, gdy ich twórcy „pochylili się już dobrze na lat dolinie,“ gdy przytępiły się ostrza dowcipu i konceptów brakować zaczyna, gdy z drugiej strony wzrosła u nas skala wymagań i podniósł się trochę ogólny poziom artystyczny — zaczynają ohaj czuć pewną pustkę dokoła siebie i słyszeć półszeptem wypowiadane sądy: „to nie ten Kostrzewski, to nie ten Bałucki, co przed laty!“ Lecz w rzeczywistości oni nie zmienili się prawie, nie zmienili przynajmniej co do swej istoty wewnętrznej; zmian raczej szukać należy w nas samych. Tylko to już taki rodzaj talentów, że jednym z warunków ich powodzenia jest właśnie zamaszystość i werwa, o które w owej szekspirowskiej „dolinie lat“ coraz to trudniej podobno...

Między nowszemi powieściami Bałuckiego znam jedną („Zamki na lodzie“), która swą treścią, a bardziej jeszcze sferą towarzyską, odtworzoną przez autora, jak zwykle, nie bez pewnej przesady i jednostronności, przypomina żywo wystawionych świeżo w teatrze letnim „Blagierów.“ W obu utworach mamy przeważnie do czynienia ze światem bankrutujących obywateli wiejskich, usiłujących pozorami dobrobytu tumanić jeszcze naiwnych, by, przy pomocy bogatego małżeństwa lub jakiegoś innego szczęśliwego zbiegu okoliczności, odsunąć od siebie grozę zupełnego upadku i wypłynąć jeszcze na powierzchnię fali życiowej. W obu epizodycznie przesuwają się postacie arystokratycznych lub udających arystokratyzm „gogów“ galicyjskich, którzy, według charakterystyki autora, „trzymając się ostatniej mody, ubierają się jednakowo, strzygą włosy i bródki jednakowo, mają stereotypowe ukłony, ruchy, mowę, otwieranie ust, mrużenie oczów, jednakowe trudności w wymawianiu r i poznawaniu na ulicy osób, nienależących do ich sfery.“ W obu wreszcie występują szablonowe już dziś w beletrystyce postacie synalków szlacheckich, zgrywających się w karty lub ruletę i prowadzących żywot hulaszczy; w obu — panny, polujące, dokąd się da, na bogatych i utytułowanych mężów i doznające w końcu rozczarowania gorzkiego.

„Sympatyczna,“ prawdziwie komedyowo-naiwna Janina z „Blagierów“ (p. Tekla Trapszo) — to w gruncie rzeczy ta sama Irena z „Zamków na lodzie,“ ale Irena w pierwszym okresie młodości, jeszcze przed smutnym epizodem z prawdziwym, co prawda, nie sfałszowanym, jak w „Blagierach,“ hrabią Glinowskim. I ów zresztą pseudo-hrabia Golski z komedyi (p. Prażmowski), zwyczajny oszust, szukający bogatej żony, ma również swój pierwowzór w powieści, w osobie podszywającego się pod tytuł hrabiego czy markiza, zwykłego rzezimieszka Odolaniego. A nieszczęśliwa baronówna Salli (p. Bogusławska), wzdychająca napróżno do Golskiego, naturalnie przed zdemaskowaniem go przez miłego szwagierka (p. Paliński), chwytająca się rzekomego hrabiego, jak ostatniej deski ratunku przed groźnem widmem niedostatku i staropanieństwa — to znowu ta sama dumna niegdyś Irena Kalińska z drugiej połowy powieści, kiedy nawet młody lekarz, chociaż syn chłopa z rodzinnej wioski, wydaje jej się, trochę, niestety, za późno — partyą nie do odrzucenia...

Te i inne podobieństwa i analogie, świadczące w każdym razie o pewnem osłabieniu pomysłowości twórczej Bałuckiego, nie wyłączają zresztą i różnic między omawianymi utworami. Główna polega na tem, że w powieści, przez nagromadzenie oszustw, fałszerstw, nieszczęść, zabójstw i samobójstw, autor wpada ostatecznie w melodramat zupełny; w komedyi zbiera tylko chmury nad głowami swych bohaterów, pozwala huczeć grzmotom teatralnym, lecz w końcu nie waha się zakończyć wszystkiego szczęśliwie, dla głównych przynajmniej postaci sztuki—uciekając się w dodatku do takiego prawdziwie antykwarskiego środka, jak kuzyn-inżynier z Ameryki (p. Roland) i kupno przezeń dla jakiegoś amerykańskiego towarzystwa za pół miliona — gruntów naftowych od Pieczyńskiego (p. Wojdałowicz), co odrazu stawia na nogi zrujnowanego szlachcica. Rzecz naturalna, że zbawca - kuzynek żeni się z piękną i miłą Janinką, która w porę zdążyła zwrócić pierścionek oszustowi Golskiemu — i publiczność, którą ubawiły już przedtem rozrzucone tu i owdzie w sztuce koncepty, w rodzaju owej nazwy *nihilistki*, nadanej przez szwagra pannie Salli dla oznaczenia, że nie ma ona nic w głowie, nic w sercu i nic w kieszeni — rozchodzi się z teatru zadowolona, tem bardziej, że wykonanie, jak zwykle w t. zw. swojskich sztukach, było szablonowe nieco, lecz naogół zupełnie poprawne, a pp. Tekla Trapszo, Bogusławska i zwłaszcza Rutkowska umiały chwilami wznieść grę swą ponad tę poprawność i uczynić ją niemal artystyczną.

To właśnie zadowolenie przeciętnej, niewybrednej publiczności, gotowej poprzestać na prawdzie konwencyonalnej, teatralnej i nieżądającej od sztuki niczego więcej, prócz zabawy chwilowej, daje pewnego rodzaju prawo obywatelstwa na scenie „komedyom“ w rodzaju „Blagierów,“ choćby z tego, oportunistycznego co prawda, względu, że lepsze one bądź co bądź od bezmyślnych lub pornograficznych fars i operetek francuskich.

Lecz z drugiej strony teatr powinienby chyba poczuwać się do obowiązku podnoszenia smaku i wymagań estetycznych ogółu, budzenia w nim zamiłowania do istotnego, wiecznotrwałego piękna. Do celu tego możnaby zacząć zmierzać przez częstsze, niż dotąd, wystawianie arcydzieł literatury dramatycznej — Słowackiego, Shakespeare'a, Schillera i tylu innych. Świat wielkich uczuć i dążeń tytanicznych, widziany choćby na scenie, jest dla współczesnej, nawskroś mieszczańskiej duszy, pogrążonej w małostkach kramarskiego żywota, pewnego rodzaju orzeźwiającą i uszlachetniającą kąpielą; pod jej wpływem wzrok zaczyna ogarniać widnokręgi szersze, duch otrząsa się z pyłu, który na nim osiada przez całe lata w deptaku zajęć codziennych.

Rozumieją to, zdaje się, obecni kierownicy naszego dramatu i komedyi, o czem świadczy chociażby świeże wznowienie w teatrze Letnim młodzieńczych „Zbójców“ Schillera i pełnego grozy „Otella“ Shakespeare'a. Zasłużone oklaski w pierwszej tragedyi zdobywał głównie p. Żelazowski, zaliczający rolę Franciszka Moora do najlepszych w swym repertuarze. W „Otellu,“ obok p. Leszczyńskiego, świetnego zawsze przedstawiciela tytułowej roli, dobrą, głęboko kochającą i uległą Desdemoną była p. Fedorowiczowa, której tylko zarzucilibyśmy zbyt cichy chwilami sposób mówienia. P. Szobert, odtwarzający demoniczną postać Jagona, dowiódł, że ma warunki do ról pierwszorzędnych. Powinienby tylko pozbyć się trochę tchnącego prowincyą zwyczaju nienaturalnego podnoszenia głosu przed zapuszczeniem kurtyny, bo efekt, wywołany tą drogą, nie przysparza chluby artyście.

Dwa wieczory z rzędu poświęcone repertuarowi w wielkim stylu, przyjęte zostały przez część publiczności z zadowoleniem, lecz zdołały zapełnić szczelnie tylko tańsze miejsca: galeryę i dalszą, a więc tańszą połowę krzeseł. Miejsca droższe były w znacznej części puste. Rzecz naturalna jednak, że Shakespeare, Schiller i inni wielcy mogliby wywrzeć wpływ trwalszy na poziom upodobań estetycznych publiczności pod tym tylko warunkiem, gdyby nie byli gośćmi chwilowymi na scenie, lecz zjawiali się na niej stale, w określonych z góry dniach, nie rzadziej, niż raz na tydzień. Na takie przedstawienia repertuaru klasycznego należałoby z zasady obniżać o połowę niepomiernie dziś wygórowane ceny biletów. Umożliwiłoby to jednym zajmowanie miejsc lepszych, innym — wogóle bytność w teatrze, który na kombinacyi takiej materyalnie nawet nie powinienby źle wychodzić, skoro i tak miejsca droższe na sztukach poważniejszych świecą przeważnie pustkami, a ludzie, którzyby je mogli zajmować, wolą cyrk, operetkę, balet, wyścigi, lub w najlepszym razie — operę włoską.

Wł. Bukowiński.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POWIEŚCI. Pytliński: „Koledzy,“ str. 269, nakł. Mieczyńskiego.

— K. Daniłowicz-Strzelbicki: „Półtony,“ str. 99, nakł. Paprockiego.

— Mutermilch „Ironia.“ str. 145. Gebeth. i Wolff.

JĘZYKOZNAWSTWO. S. Szenbak: „Gramatyka języka hebrajskiego z ćwiczeniami i wypisami z Pisma św.“ Cz. I. str. 144. Nakł. Contnerszwera.

PODRĘCZNIKI. Kędzierski: „Mój elementarz“ str. 76. Cz. I i II, kop. 30, nakł. Fiszera.

SPOŁECZNE. Karejew: „Myśli o istocie działalności społecznej.“ Wyd. 2-gie, str. 173, nakł Karbasnikowa.

— Karejew: „Listy do młodzieży uczącej się o samokształceniu się.“ Wyd. 7 e, str. 169, nakł. Karbasnikowa.

— Dyakowski: „Jak urządzać gniazda i opiekować się ptakami,“ str. 78, nakł „Księgarni Polskiej“ Sikorskiej

WYDAWNICTWA LUDOWE. Zorjan: „Pod godłem krzyża,“ powieść z XIV w., str. 111. C. 15 kop.

— Zorjan: „Dopust boży.“ powieść historyczna z XVII w., str. 80. C. 15 kop. Nakł. Księgarni „Polskiej“ — Sikorskiej.

POEZYE

PRZEMIANA.

Miłości, gdzież się źródło twe podziało,
Co wiecznie miało bić? Gdzie dzwony twoje,
Co wiecznie miały rozbrzmiewać? Serc dwoje
Niegdyś, jak górskie rzeki dwie, kipiało.

Wszystkich natury potęg było mało,
Aby uciszyć ich głód... Gdzież te zdroje?
Wskrześnij, promienna! Ołtarz ci ustroję
W przędzę, na którą duszę wytkam całą.

Napróżno. . Dyabła wypełnia się słowo,
Rzucone światu, że mydlaną bańką
Jest to, co wiecznem dziecko prochu mieni.

Kochanko! byłaś duszy mej połową —
A dziś? Czy jestem?.. Czas jest śmierci niańką...
I ty wśród nikłych majaczysz mi cieni..

RYBAK.

Gdy się wkoło mnie uciszy i we mnie
Dnia hałaśliwy zamęt i jałowy;
Gdy zamyślenie, jak miesiąc stepowy,
Wybieli serca zawichrzone ciemnie —

W jezioro ciche, które według mowy
Przeszłością zwie się, rzucam, drżąc tajemnie,
Sieć mej pamięci: i wiem: — niedaremnie
Plotła ten niewód dla nas dłoń Jehowy.

Wszystko oglądam, co się w sieć uwikła,
Com drogo płacił, czy na szeląg cenił.
I widzę—wszystko proch;—różnica znikła.

Lecz jeden zawsze leży skarb w mej sieci,
Którego dotknął czas, ale nie zmienił:
To żal, co serca rubinami świeci.

Maryan Zbrowski.

KŁOSKI.

Ach, jak my chodzimy po świecie rozdęci swoją własną wielkością!

We Lwowie, po paru przedstawieniach dramat S. Przybyszewskiego, „Złote runo,“ został usunięty ze sceny przez uchwałę Rady miejskiej. Autorowi „przebrała się miarka cierpliwości,“ zwłaszcza gdy daremnie czekał przez kilka tygodni, że przeciwko temu zakazowi „podniesie się ogólny protest.“ Ponieważ jednak „miała odwagę przemówić w imieniu sprawiedliwości“ tylko p. Zapolska, więc p. P. sam wystąpił w swojej obronie. Ogłosił tedy list publiczny, w którym zapytawszy „braci po piórze: nie wstyd wam, że kobieta musi was w tem wyręczać, coście wy zrobić powinni?“; uznawszy za jedynie uprawnionego sędziego do rozstrzygania kwestyj etycznych „światłego kapłana i męża tak głębokiej nauki, jak ksiądz Theodorowicz, który bez wahania przyjął do *Przedświtu* krytykę („Złotego runa“) p. Flacha,“ powoławszy się na „pochlebną ocenę“ *Czasu*, wreszcie na fakt, że dramat grany był poprzednio w Krakowie, a „przyjęty z entuzyazmem“ w Przemyślu, Tarnowie i Stanisławowie, a nawet wprowadzony do repertuaru teatru rządowego w Warszawie — wyłuszczywszy to —„zapowiada, że wyczerpie wszystkie środki, by znaleźć sprawiedliwość“ i że jeśli „nie znajdzie jej u Polaków, będzie zmuszony szukać jej u Niemców.“

Nie pierwszy to raz nasz brat grozi, że nie otrzymawszy zadośćuczynienia u swoich, zwróci się do obcych. Tym razem wszakże jesteśmy radzi, że p. P. wezwie pomocy Niemców. Bo może przypomną mu oni, że takich samych krzywd doznawało śród nich wielu pisarzów (np. Hauptmann), których sztuki, grywane w jednych miastach, były zakazywane w innych, a pomimo to nie podnosił się ogólny protest“; że tam dzieją się jeszcze ładniejsze rzeczy, kiedy np. wierny, urzędownie sprawdzony przekład średniowiecznej książki („Theologia moralis“ dr. Alfonsa Liguori) w jednem mieście jest wyrokiem sądowym uprawniony do sprzedaży, a w drugiem również na mocy wyroku sądowego skonfiskowany, z obciążeniem nakładcy odpowiedzialnością karną itd. Wszystko to zapewne powiedzą p. Przybyszewskiemu Niemcy, występujący „w imię sprawiedliwości.“

Co do nas, ograniczymy się na krótkiej uwadze. Uchwała Rady miejskiej we Lwowie jest również dla nas niedorzeczną, małoduszną i zaściankową. Ale nie pobudza ona nas wcale do ciągnięcia wraz z p. P. sznura od wielkiego dzwonu alarmowego. Bo naprzód sam fakt jest drobny i niegroźny dla postępu kultury nawet Galicyi, która może obejrzeć „Złote runo“ na scenie czterech innych teatrów, powtóre wszelkie tego rodzaju zakazy uważamy za naturalne, ciągle i wszędzie występujące objawy walki przekonań, która toczy się nietylko — jak chce p. Przybyszewski—w polityce, ale na całym obszarze życia umysłowego i społecznego. To, co spotkało autora „Złotego runa,“ spotykało może w innych, ale nieraz dotkliwych formach, innych naszych pisarzów, którzy nie mieli przy sobie nawet p. Zapolskiej z ks. Theodorowiczem, tylko że oni nie żądali pomsty za swe krzywdy ani od bogów, ani od ludzi, ani od Niemców. *sz.*

Przed paru laty zauważono, że mokotowska dzielnica Warszawy powinna mieć własny kościół, gdyż okoliczne nie wystarczają pobożnym. Powstał więc komitet, który zaczął zbierać składki, zakupił plac i ogłosił konkurs na pomysł budowy. Przysądziwszy pierwszą nagrodę projektowi p. Szyllera (czysty gotyk), wybrał do wykonania odznaczony drugą (mieszany renesans) jako tańszy. Zagotował się w prasie gwarek. Zwolennicy estetyki żądali, ażeby nowy kościół był wzniesiony według pomysłu uznanego za najlepszy, gdyż wtedy nietylko zadośćuczyni potrzebom wiernych, ale i wymaganiom miłośników piękna, obrońcy zaś religii stanęli po stronie tańszego, gdyż w tem przedsięwzięciu chodzi nie o gmach ozdobny, ale o przybytek modlitwy, a komitet zaledwie spłacił połowę ceny placu, o zebraniu zaś miliona rubli na ogół kosztów nie może marzyć. Tak rozumuje ks. Siemiec i ze swego stanowiska ma zupełną słuszność. Ale przeciwne stanowisko posiada również swoje racye. Czy dzielnica mokotowska potrzebuje naglącego nowego kościoła — o tem my rozstrzygać nic chcemy i nie możemy, gdyż odpowiedź na to pytanie leży po za granicami naszej kompetencyi. Ale o tem dobrze wiemy, że Warszawa potrzebuje stylowych gmachów, że za dużo zgromadziła pospiesznej tandety i że jeśli ma ponieść znaczną ofiarę na nową świątynię, to byłoby lepiej, gdyby nieco poczekała do zebrania odpowiedniej sumy i wzniosła artystyczny pomnik swych uczuć, niż za mniejsze pieniądze zwyczajny stos cegieł. Ks. Siemiec powiada: my chcemy mieć dom dla modlitwy, a nie przybytek sztuki. Czemuż w takim razie nie budować na ten cel prostych kamienic, z których każda kosztowałaby kilkadziesiąt tysięcy rubli i których możnaby nastawiać w rozmaitych dzielnicach? Byłoby to najłatwiejsze i najtańsze załatwienie sprawy. Zdaje nam się jednak, że nawet religia nie może wyprzeć się siostrzeństwa ze sztuką, a nikt bardziej od papieżów nie starał się o wzmocnienie tego związku. *B*

Czy wiecie, kto to jest K. D—S.? Zdaje mi się, że nie. Więc i mnie darujcie, że nie odgadłem, jak się nazywa ów mistrz, który w *Wędrowcu* karci mnie surowo za bezimienność uwag o podanych przez niego „figlach pioruna.“ Wielki ten astronom uczy mnie łaskawie, że swoje wiadomości o owych „figlach“ poczerpnął z artykułu Flammariona, że są one oparte „na urzędowych sprawozdaniach, na listach i dokumentach wziętych od osób wiarogodnych,“ że ze „Słownika elektryczności“ Lefevre'a można się dowiedzieć, iż piorun przybiera postać kuli. Za wszystko to w imieniu mojem i naszej redakcyi jestem p. K. D—S. ogromnie wdzięczny, ale pozwolę sobie zauważyć, że:

1) Flammarion, znany fantasta naukowy, jest takim astronomem, jak Verne podróżnikiem;

2) że nawet urzędowe sprawozdania i listy osób wiarogodnych nie odbierają nam prawa do oceniania ich wartości logiką i rozumem.

3) wreszcie, zgodnie z tem prawem, gdyby zmartwychwstały Homer najuroczyściej zapewnił, a wszyscy Grecy pod Troją zaprzysięgli, że p. K. D—S. był matką Minerwy, my temu odważymy się nie wierzyć. *L. E—T.*

KRONIKA

Wiadomości społeczne. Zgromadzenie wielkich przemysłowców w Saksonii uchwaliło protest przeciw wydalaniu robotników słowiańskich.

— Według ostatniego wykazu Banku włościańskiego, od września 1900 r. do marca r. b. rozparcelowano całkowicie lub częściowo 65 dóbr ziemskich w Królestwie Polskiem. Bank spłacił 599,200 rubli długu hypotecznego, ciążącego na tych majątkach.

— Naczelnik m. Petersbuga wydał następujące rozporządzenie, pomieszczone w *Wied. pet. gradon.*: „Noszenie w Petersburgu i na przedmieściach sztyletów, wszelkich kastetów, noży zwanych fińskimi itp., bez potrzeby wywołanej koniecznością z powodu zajęć lub rzemiosł, jak również sprzedaż i noszenie proc gumowych do strzelania jest zabronione. Winni przekroczenia tego postanowienia skazani będą przez naczelnika miasta w drodze administracyjnej na grzywnę do 500 rubli lub na areszt do 3 miesięcy.“

— *Pet. Wied.* donoszą, iż rada starszych majstrów cechowych w Petersburgu przedsięwzięła starania w ministeryum skarbu, ażeby sklepy rządowe z wódką i handle prywatne napojów wyskokowych otwierane była dopiero o godz. 10 rano zamiast o 7-ej. Miałoby to ten pożądany skutek, że robotnicy, udający się do zajęć, nie zaopatrywaliby się w alkohol, który jest przyczyną tylu nieszczęść i wypadków.

Szkoły. Z nowym rokiem szkolnym powstaje w Warszawie 7-klasowa szkoła handlowa dla kobiet, na którą pozwolenie otrzymała p. Aniela Warecka. W szkole tej, podług systemu nowych zasad pedagogicznych, wszystkie lekcye odrabiane będą na miejscu pod nadzorem nauczycieli. Zwyczaj stawiania stopni ma być również zaniechany.

— Dzienniki petersburskie podają następujące zasadnicze zmiany w projektowanej reformie szkół średnich, które mają być rozpatrywane przez specyalną komisyę ministeryum oświaty. Typ szkół, i programy naukowe powinny być jednakowe zarówno dla zakładów rządowych jak i prywatnych zasilanych przez władze, inne mogą mieć program odmienny. Kurs siedmioletni. Język łaciński i angielski nieobowiązujące, grecki wykładany będzie tylko w pięciu gimnazyach, po jednem w Petersburgo, Moskwie, Kijowie, Warszawie, Jurjewie. Język łaciński dopiero od 4-ej klasy. Wprowadzone być mają nowe przedmioty: przyrodoznawstwo, krajoznawstwo i nauka prawa; dwa ostatnie obowiązujące tylko dla uczęszczających na wykłady łaciny, pierwszy — dla wszystkich. Kończący kurs szkół średnich mogą wstępować bez egzaminu na wydział fizyczno-matematyczny; na prawny i medyczny przyjmowani będą tylko ci, którzy uczęszczali na wykłady łaciny; na filologiczny ci, którzy znają oba języki starożytne. Na każdy zaś wydział mogą wstępować kandydaci po zdaniu egzaminu ze znajomości wymaganego języka.

— Towarzystwo nauczycieli szkół średnich we Lwowie uchwaliło domagać się pomnożenia godzin nauki języka polskiego i zmiany niektórych podręczników, a zwłaszcza tendencyjnie ułożonych „Wypisów“ St. Tarnowskiego i gramatyki A. Małeckiego jako „przestarzałej.“

— Ministeryum oświaty poleciło przełożonym szkół zawodowych w Łodzi, aby corocznie przedstawiali wiadomości, jakie stanowiska zajmują uczniowie tych zakładów naukowych po ich ukończeniu. Ma to posłużyć za wskazówkę, o ile dany typ szkoły przemysłowej lub rzemieślniczej czyni zadość fachowemu przygotowywaniu młodzieży do pracy w przemyśle i handlu.

— Ministeryum oświaty nadesłało kuratorowi okręgu naukowego warszawskiego projekt przekształcenia szkół realnych.

Prasa. Jedyne u nas pismo przyrodnicze, wielce u nas pożyteczne, *Wszechświat*, wydało ogólnego zbioru nr. 1000. Wobec tej ciężkiej walki, jaką prowadzić musiało z obojętnością ogółu, tysiąc numerów to ogrom pracy mozolnej, dla której należy się uznanie wielkie.

— *Ateneum*, miesięcznik, przestaje wychodzić z d. 1 lipca r. b.

Nagrody. Na dorocznem posiedzeniu Akademii Umiejętności w Krakowie, odbytem d. 30 maja, za najlepsze dzieło z historyi polskiej uznano pracę prof. Kazimierza Morawskiego „Historya Uniwersytetu Jagiellońskiego.“ Oprócz tego nagrody otrzymali: Stanisław Wyspiański za karton „Kazimierz Wielki“; z fundacyi Lindego rb. 675 przyznano pp. J. Karłowiczowi, A. A. Kryńskiemu i Z. Niedźwiedzkiemu za „Słownik języka polskiego“; z fundacyi ks. Jakubowskiego dwie nagrody za prace o hodowli drzew i krzewów w ogrodach naszych gospodarstw otrzymali pp. Józef Brzeziński i Józef Bróg-Suchodół z Krosna.

Z muzyki. D. 29 maja odegrano po raz pierwszy w operze królewskiej w Dreznie operę J. I. Paderewskiego p. t. „Manru.“ Libreto napisał A. Nossig na tle powieści J. I. Kraszewskiego „Chata za wsią.“ D. 8 b. m. operę tę wystawia teatr lwowski

Zdrowie publiczne. Ministeryum komunikacyi nakazało, ażeby na wszystkich statkach parowych i zbyt oddalonych od miejscowości zamieszkałych przystaniach wodnych, utrzymywane były apteczki z najwięcej używanymi środkami leczniczymi, oraz przyborami opatrunkowymi.

Zjazd nauczycieli we Lwowie powziął uchwały w sprawie hygienicznego wychowywania młodzieży, reformy egzaminów dojrzałości, tudzież wprowadzenia w szkołach średnich nauki literatury powszechnej.

Kongres międzynarodowy wydawców obradować będzie w Lipsku d. 10—13 b. m.

Koleje i komunikacye. Zatwierdzono budowę kolei Północnej, mającej połączyć Petersburg z Wiatką. Długość linii obliczona jest na 1200 wiorst.

Ofiara. Amerykański „król stalowy," miliarder Carnegie, ofiarował dwa miliony funt. sterlingów na utworzenie kursów bezpłatnych dla studentów pochodzenia szkockiego, na uniwersytetach w Edynburgu, Glasgowie, St. Andrews i Aberdeen.

Dla swoich. Rodzina po zmarłym fabrykancie łódzkim, J. K. Poznańskim, ku uczczeniu jego pamięci ogłosiła konkurs na budowę mauzoleum, z zastrzeżeniem, że „z konkursu wyłączone są siły miejscowe i krajowe." Przy konkursie utrzymała się firma berlińska Kramer i Wolfenstein." (*Gaz. pols.*)

Zmarli. Józef Soleski, poseł na sejm krajowy, b. dyrektor szkoły przemysłowej we Lwowie i wybitny pracownik w rozwoju szkolnictwa w Galicyi; autor kilku podręczników szkolnych, założyciel Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych.

— Dr. Hazelius, twórca wielkich kulturalno-historycznych zbiorów Muzeum północnego w Sztokholmie. Cieszył się niezwykłą popularnością i sławą wśród wszystkich warstw społecznych Skandynawii.



OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Мая 1901 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.